

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 121.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 18 stycznia 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Onufry Kopczyński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Szece-
kociny i pani starościna wobromska (z trzema drzeworytami). — Kilka odpo-
wiedzi na jedno pytanie. — Szkoły poprawcze dla uliczników. — Królówiec
(z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Dumka jesienna (poezya). — Korrespon-
dencya Tygodnika Ilustrowanego. — Pisarze polscy. — Odezwa pana M. C.
Ruch literacki w Galicyi. — Korrespondencya od redakcyi.

Ks. Onufry Kopczyński.

Na polu piśmiennictwa narodowego, zarówno jak i obywatelstwa, Kopczyński przeważnie położył zasługi. Piórem jego kierowała czysta myśl przywiązania do kraju, na jego ołtarzu złożył owoc swój pracy i trudów.

Przeżył wielkie przemiany w narodziu. Już był dojrzałym młodzieńcem i nauczycielem zasłużonym w zgromadzeniu księży pijarów, kiedy zmarł August III. Patrzył na ostatnią elekcya, na ostatniego króla wybieralnego, Stanisława Poniatowskiego; przeżył całe jego panowanie; poszedł potem w tułactwo i znów powrócił do kraju, gdzie po ogłoszeniu królestwa polskiego traktatem wiedeńskim, umarł w 81 roku życia, przeżywszy w zakonie pijarskim lat 65.

Kopczyński urodził się dnia 30 listopada 1735 r. w Czerniejowie, w dawnym województwie gnieźnieńskim. Szkoły pijarskie ukończył w Warszawie, i w Podoleńcu w siedemnastym roku życia przywdział suknię tegoż zakonu. Po czterech latach kształcenia się naukowego, po przyjęciu święceń kapłańskich, w r. 1754 rozpoczął zawód nauczycielski. W Radomiu, Piotrkowie, Rzeszowie i Złoczowie wykładał język polski i łaciński, a wkrótce, zyskawszy szacunek i miłość uczniów, jasnym i zrozumiałym wykładem zwrócił uwagę starszych zgromadzenia, którzy mu poruczyli prowadzenie sposobnych się do zawodu nauczycielskiego młodych pijarów.

Szczęśliwe zdarzenie ułatwiło Kopczyńskiemu zwidzenie obcych krajów, o czém marzył i czego gorąco pragnął. Zamożni rodzice młodego Antoniego Wisłockiego, chcąc mu dać przewodnika, któremuby z całą ufnością mogli syna powierzyć, wybrali i uprosili Kopczyńskiego, ażeby wziął go w swą opiekę. Z tym uczniem zwidził Niemcy i Francya, z bogaczącą własną wiedzę.

W r. 1800, w czasie zawiązania się Towarzystwa

przyjaciół nauk, Kopczyński staje w jego gronie i składa rozprawę: *O duchu języka polskiego.*

Za rządu pruskiego wezwany został przez kamerę miejscową, aby w liceum warszawskiem wykładał uczniom naukę chrześcijańską i obyczajową. Nie mogąc, dla sił starganych wiekiem i pracą, odpowiedzieć temu powołaniu, napisał i wydał: „*Zbiór nauki chrześcijańskiej i obyczajowej.*“ Małe to pismo co do objętości, ale ważne co do treści i prawd wyłożonych z prostotą ewangeliczną, stało się przewodnikiem dla

niemceki mocno ją kazily, wydał rozprawę p. n. *Poprawa błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej.* (Warszawa 1808).

Ignacy Potocki, znający bliżej Kopczyńskiego, świadek jego nauki i pracy, zachęcał go pierwszy do napisania grammatyki języka polskiego. Odtąd Kopczyński wszystkie chwile życia poświęcił tej jedynie myśli. Dbaly o zachowanie czystości ojczystej mowy, gdy z jednej strony wpływ francuzki, z drugiej nacisk niemiecki mocno ją kazily, wydał rozprawę p. n. *Poprawa błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej.* (Warszawa 1808).

Zasiadając w sławnej izbie edukacyjnej, pracował w niej gorliwie wraz z Kollatajem i Stanisławem Potockim. Gdy w r. 1812 wydział oświecenia publicznego nową przybrał postać, Kopczyński do udziału w jego pracach został powołany.

Na trzydzieści lat przed śmiercią objął rząd zgromadzenia księży pijarów 1804 r. Zastaje w zakonie niemałe rozprzężenie, skutkiem wypadków politycznych i obcych wpływów, widzi dawnych pracowników spoczywających beczynnienie, a młodszych ukrytych w cieniu domowego ustronia. Zgromadza wszystkich, skupia w koło siebie, zagrzewa gorącym słowem i w trzy lata niespełna tak zgromadzeniu, jak otworzonej przez siebie szkole, jedna w całym narodzie chlubne uznanie.

W ciągu całego panowania Stanisława Augusta, imię Kopczyńskiego nabierało coraz większego rozgłosu. Wezwany do grona towarzystwa ksiąg elementarnych, do ułożenia i uporządkowania biblioteki Żaluskich, odpowiedział godnie położonemu w sobie zaufaniu.

Oprócz mozolnej pracy nad grammatyką języka polskiego, zwrócił przede wszystkim uwagę Kopczyński na ułatwienie dzieciom nauki czytania i pisania, i w celu tym wydał dziełko p. n. *Elementarz dla szkół parafialnych narodowych, zawierający naukę pisanja i czytania,* Warszawa 1784 r.

Książę prymas Poniatowski, obecny w szkołach warszawskich (d. 19 lipca 1784 r.) popisom dzieci prowadzonych wzorem od Kopczyńskiego podanym, przekonał się jak dobrze był zastosowany do pojęcia młodzieży, kiedy ja-
sno zdawali sprawę z początkowych zasad mowy pisanej. Nazajutrz król Stanisław August słuchał z upodobaniem przez dwie godziny w Łazienkach piętnastu wybranych uczniów, odpowiadających jaknajdo-



KS. ONUFRY KOPCZYŃSKI. (Rysował na drzewie Polkowski.)

młodzieży szkolnej i po wielokroć przedrukowywane było. (W r. 1845 już szósta edycja wyszła). Jeżeli nie przyjął obowiązków nauczyciela w liceum warszawskiem, nie wymówił się gdy Voss minister, w imie-

sno zdawali sprawę z początkowych zasad mowy pisanej. Nazajutrz król Stanisław August słuchał z upodobaniem przez dwie godziny w Łazienkach piętnastu wybranych uczniów, odpowiadających jaknajdo-

kładniej na wszelkie zadawane pytania. Król obdarzył go wtedy medalem złotym, z napisem: „Merentibus.“

Kiedy z ustawicznego czytania we dnie i w nocy zapadł w ciężką słabość oczu, Walenty Gagatkiewicz, doktor i przyjaciel najwierniejszy Kopczyńskiego, ocala go od kalectwa. Przejęty wdzięcznością, ubogi zakonnik niesie w darze swemu zbawcy medal ten, z wierszami dziękczynnymi. (*) Gagatkiewicz wiersze przyjmuje, ale medal zwraca, jako drogą dla Kopczyńskiego pamiątkę. Na rok przed zgonem, w roku 1816, wdzięczni ziomkowie uczcili sędziwego a pełnego zasług starca złotym medalem, z napisem: *Za grammatykę języka polskiego.*“

Umarł w Warszawie, dnia 14 lutego 1817 r.

Znany poeta i obywatel, Rajmund Korsak, elegią na zgon jego od tych wierszy zaczął:

„Czyś dzień ujrzał pod strzechą, czyś się w zamku
[rodził,
Kopczyński? Zład twych zalet nie będę wywodził.
Niknie losu wyniosłość na wieczności progu:
Ten wielki, kto dług oddał ojczyźnie i Bogu.“

Książd Aloizy Osinski ogłosił drukiem: *Pochwałę ks. Onufrego Kopczyńskiego*, Warszawa, w drukarni N. Glücksberga, r. 1819, która dwa wydania miała.

Prace jakie drukiem ogłosił, wliczymy chronologicznym porządkiem, opuszczając łacińskie wiersze, z olicznosci różnych wydane.

1780. Grammatyka polska z przypisami, na trzy klasy.

1784. Elementarz dla szkół parafialnych narodowych, zawierający naukę pisania i czytania.

1785. Układ grammatyki dla szkół narodowych, z dzieła już ukończonego wyciągnięty.

1786. Zbiór nauki chrześcijańskiej i obyczajowej.

1804. Rozprawa o duchu języka polskiego.

1806. Prawidła przystojności i obyczajności.

1806. Prawa studentów pijarskich, podpisane od Hoima prezydenta k. w.

1807. Nauka o dobrém pisaniu.

1807. Essai de grammaire polonaise pratique et raisonnée, pour les Français.

1808. Poprawa błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej.

1816. Mowa przy odebraniu medalu złotego, d. 30 listopada w Warszawie.

W rękopisie zostawił grammatykę na sześć klas podzieloną, owoc badań trzydziestoletnich, i za życia złożył ją w przyjacielskich rękach Aleksandra hr. Chodkiewicza, który mu przyrzekł wydanie jej swoim nakładem. Zamiar ten spelzał na niczém, a rękopis gdzie się obecnie znajduje, niewiadomo.

Z prac tych najważniejszą i najbardziej upowszechnioną jest niezawodnie „Grammatyka języka polskiego i łacińskiego, dla szkół narodowych.“ Kopczyński nie miał na tém polu poprzedników: sam musiał torować sobie drogę, sam wszystko stwarzać pracą i myśleniem; dzieło więc jego nie mogło być wolne od błędów i niedokładności. Współcześni wynosili je pod niebiosa; późniejsi znów niesłusznie odmawiali mu wszelkiej naukowej wartości. Tymczasem prawda, jak zwykle, leży pośrodku: są usterki nieuniknione, ale jest i ogromna zasługa. Kopczyński samą już czystością języka, na owe czasy wyjątkową, obznajmiał młodzież praktycznie z mową ojczystą i zachęcał do jej uprawiania. W grammatyce jego słownictwo (terminologia) pomyślane jest w ogólności bardzo trafnie, i podobno jak Sniadecki w chemii, tak Kopczyński w mowoznawstwie polskiem pozostał zawsze pierwowzorem, którego powagi żadne nowsze usiłowania obalić nie zdołają. Nie zbywa mu także na pomysłach ogólnych, szczęśliwie do nauki zastosowanych. Do takich między innymi należy ustanowienie form przypadkowania rzeczowników, oparte na różnicy rodzajów. Przyjęcie też trybu bezokolicznego za źródło czyli pierwowotnik czasowania, nader jest logiczne; a lubo w ostatnich czasach kilku badaczów naszego języka zasadę tę ze stanowiska etymologicznego uznano za mylną, (uważając za jądro słowa osobę trzecią liczby pojedynczej czasu przeszłego trybu oznajmującego, w rodzaju męzkim), niema jednak wątpliwości, że jak w słownikach i grammatykach innych języków, tak i w naszych, tryb bezokoliczny, będący

ogólnym, niczém nieokreślonym wyrażeniem stanu lub działania, pozostanie zawsze podstawą rozwijania się wszelkich odmian słowa.

Zarzucono Kopczyńskiemu, że prawidła własnej mowy dowolnie często naciągał do form języka łacińskiego. Zarzut ten nie jest zapewne bez słuszności, lecz znajduje usprawiedliwienie w okolicznościach czasowych, a mianowicie w tém, że polecono mu z góry napisanie grammatyki *polско-łacińskiej*. Kopczyński, jak się zdaje, nie podzielał myśli połączenia z sobą obu języków, a przynajmniej w ciągu swjej pracy przekonać się musiał o jej nietrafności; sam bowiem później oddzielił grammatykę polską od łacińskiej. Prócz tego, chociaż przy czasowaniu słów łacińskich, dla wytłumaczenia ich, zmuszony był niekiedy uciekać się do form językowi naszemu niewłaściwych, (jak np. do czasów zaprzeczonych: byłem był, byłeś był i t. d.), nigdy ich jednak w pismach swych nie używa i w grammatyce wyłącznie polskiej, na str. 101, wyraźnie mówi: „Niektórzy do tych czasów dodają czwarty i nazywają go *zaprzeczonym*; ale prawdziwie nie masz tylko trzy czasy: przeszły, terażniejszy i przyszły. *Reszta, są to dodatki do języków obcych stosowane.*“ To samo powiedzieć można i o trybie *życzącym*, powstałym ze słowa i spójnika że, który Kopczyński wprowadził do grammatyki polско-łacińskiej; ale w oddzielnej grammatyce polskiej zupełnie go opuszcza.

Przytoczenia te dowodzą, że autor nasz o swém zadaniu dokładne miał pojęcie, a w wykonaniu tylko uleżył musiał w części sile okoliczności. Dalekim też był od myśli uważania swjej pracy długoletniej za dokładną i wzorową; widział w niej owszém tylko „zbiór postrzeżeń nad językiem ojczystym,“ których, jak sam mówi, „nikt ani jeden, ani wszystkich razem uczynić nie może, bo jestto lat i towarzyszt dzieło.“ (Wstęp do grammatyki po zgonie Kopczyńskiego wydanej). Takiej pracy zbiorowej uczonego towarzystwa wyglądamy z niecierpliwością, jako jedynego środka przecięcia licznych dotąd w grammatyce i pisowni naszej dowolności.

Kronika tygodniowa.

Chcecie zapewne odemnie nowin, czytelnicy.

Otóż naprzekór nie dam wam żadnych.

Pogawędzimy sobie trochę, bo pogawędzić nigdy nie zawadzi, zwłaszcza pomiędzy osobami które się dawno nie widziały z sobą.

O szczerą, a uczciwą, a pożyteczną gawędę trudno.

Ten nie może, ten nie chce, a ten nie umie. Ten się boi wywnętrzać, a ten chciałby nieborak, ale nie ma z czém. Wejście no trochę sami w siebie, przypomnijcie sobie stosunki swoje i obejrzyjcie to życie wlokące się pomiędzy dniem wczorajszym, który niewiele przyniósł, a jutrem, od którego niedużo należy się spodziewać. Czyż nie zdarzają się pomiędzy nami tacy, którzy kiedy mają się z jakim szczerzem odezwać zdaniem, to własny surdut zdejmują z siebie i odkładają na bok, żeby przypadkiem ich nie podsłuchał. To jak Ludwik XI, który modlił się codzień do orszaku świętych których miał na czapce, a strzegł się ich jak ognia, bo jak mówił: święci są niedyskretni i tajemnic stanu nie warto im powierzać. Miał on poniekąd słuszność, bo dziwne też i smutne nieraz były te jego tajemnice stanu, które chował w żelaznych klatkach, na samym spodzie ciemnic bastylskich.

Inni znów gadają na prawo i na lewo, wiatr niesie ich słowa, i słowa też te nic innego oprócz wiatru nie przynoszą.

A tak, by nam się jednak zdala dobra a sumien-na gawęda, w którejbyśmy się nie oglądali na prawo i na lewo, ale palili sobie szczerą prawdę wręcz, jak to przystoi braciom z krwi i kości, braciom z ciała i ducha. „A jeżeli, panie bracie, to się stanie, a nuż znowu, kochany przyjacielu, owo powiedzą. Człowiek nie chciałby szwankować, już to w naturze ludzkiej leży, a ten język, to wodzi na pokuszenie, i za jego wybryki nieraz ciężko odpowiadać przyjdzie.“ I to prawda, ale jedną rzecz uważam jako szczególny obowiązek człowieka, który chce nim być w całym znaczeniu tego wyrazu: oto powinien on brać odpowiedzialność nietylko za czyny, ale i za słowa swoje, bo słowo niema być niczém innym, jeno czynem w zarodku. Powiedziałeś to bracie, pamiętajże iżbyś własnym słowem swoim kłamu działaniem nie zadał, bo zacóżby cię mieli ci do których mówisz?

Ale cóż to ja czynię?

Jak widzę zapomniałem się. Zdawałoby się że papier to taka biała a niewinna rzecz, i pióro po prawdzie nic w sobie nie ma nagannego, owszem dowcipny to instrument, miękki, wygodny, który wymyliłsi ludzie, odkąd *styl* łaciński zaczął im się wydawać za ostrym. A jednak połóż przed kim ten biały papier i daj mu pióro w rękę, to już niewiadomo nawet gdzie zajędzie.

Tak się też i ze mną stało.

A jednak siadając do stolika, wymyśliłem sobie wyborną receptę na to, ażeby moje artykuły podobaly się i zyskały powodzenie. Powiedziałem sobie: zacznę od tego, że będę chwalił moich czytelników, to najlepszy sposób, oni właśnie lubią takich pisarzy. Autor chwalcący publiczność, staje się dla niej drogocennym sprzętem, bo naturalnie musi mieć rozum, kiedy się na rozumie drugich tak umie poznać. A i zaprawdę, mili bracia moi, byłoby z czego was chwalić, i niejedną przymiot i niejedną szlachetność dałaby się wyszukać bez znużenia.

Ale jesteście, bracia moi, jak piękne i wspaniałe gmachy, w których każde piétro jest urządzone ze wszelką wygodą, zbytkiem nawet, aż miło spojrzeć. Cóż z tego, kiedy w tych gmachach często najwyższe piétro bruzdzi. Pusto, zimno i ciemno na tém poddaszu, które najbliżej nieba się wznosi. Pomyślny bracia o tém ostatniem piétrze, umeblujmy je przyzwyczaję, oporządźmy dostatnio, a... niczego nam nie zbraknie? Nie zaprawdę, ale pamiętajmy o tém, że to praca nielada, bo właśnie na to najwyższe piétro najtrudniej znosić materyały.

Niejednemu z was, czytelnicy, zdarzyło się zapewne, że jak się go uczepli jaki, byle jaki, dźwięk, nuta, frazes czy wiersz, to już mu to ciągle w kółko wiruje w głowie i ani podobieństwo się go pozbyć. A niekoniecznie ma to być coś genialnego, albo uderzającego oryginalnością, wzniosłością czy rozumem; czasem przyjdzie byle co, niewiadomo z kąd przyszło, niewiadomo dlaczego, a człowiek się staje katarynką: coś w mózgu kręci korbą, i wciąż te same dźwięki wychodzą.

Otóż z mną się stało coś podobnego. Od dwóch dni uczeplił mnie się, niewiadomo dlaczego, początek znanej dobrze każdemu z was elegii Karpińskiego:

„Otóż mój dom ubogi, też lepione ściany,

Tę okna różnoszybne, piec niepolewany

I niska strzecha moja...“

Przyznacie że wiele w tém może jest prostoty i wdzięku, ale niema znowu tak bardzo co sobie powtarzać, a tém więcej drugim.

Jakże tu jednak dać sobie radę z myślą, kiedy ona ma swoje jakieś niewytłumaczone wybryki i zбочenia, którym ani podobna dać rozsądny powód? Niema co, kiedy taka bieda uczepli się człowieka, trzeba jej poddać kark i raz się dobrze wygadać, to może na później zyska się wolność.

Więc pomówmy parę słów o tym domku ubogim z elegii.

Powiedziano że poeta więcej wart od filozofa, bo kiedy pierwszy często prostuje drogi ludzkości, drugi nierzadko je gmatwa.

Jest to prawda, ale znaczy to jakby powiedziano że całość więcej jest warta od części, bo w prawdziwym poecie często i wielki filozof się mieści.

Ot naprzykład Karpiński, autor wspomnianej elegii, pisał on o swoim domku wiejskim. Czy wyłącznie o nim tylko myślał, nie wiem, ale gdyby chciał naprawdę rozebrać, co to rzeczy się mieści w tych dwóch wierszach i jednej połowce, to tomy całe napisacby można.

Powiada że domek jego ubogi... jakże wyrażenie to uogólnić się daje dla nas wszystkich!

Oderwijmy kogo od tego domku ojców naszych, rzucmy go pomiędzy najpiękniejsze wymysły nowożytnego świata, pomiędzy cuda cywilizacji, pomiędzy arcydzieła tego wszystkiego, na co przemysł i praca ludzka zdobyć się mogą.

Niechaj podrózuje po ziemiach wielkich wspomnień i olbrzymich pamiętek przeszłości.

Niechaj się przypatruje wdziękowi natury w najcudniejszym ich rozkwicie.

Pod włoskiem słońcem, wśród amerykańskich dzieł, w paryzkich zbytkach, w londyńskim przepychu, będzie tęsknił i dumiał do ubożego domku ojców swoich, bo ten domek stał się życiem jego.

Tęsknota i zaduma, wyrazy które my tylko rozumiemy my, bo w obcych językach niema nawet na nie wyrażenia coby je wytłumaczyło i nadało im znaczenie,— tęsknota i zaduma... Anglik, Francuz, Nie-

(*) Valentino Gagatkiewicz, medico suo, die natali ejus sacra Onuphrius Kopczyński, pro valetudine oculorum, salu-tem et regium numisma. D. D. 1783, w 4ce.

miec nie pojmie ich, jak i wiele rzeczy w nas nie pojmie, a chcąc koniecznie znaczenia się ich domysleć, musi naopak wytłumaczyć je sobie.

Tylko za takim ubogim domkiem jak nasz, tęsknić i dumać można, nie tęskni się za pałacami, bogactwami; można ich żalować, można się gniewać że się już ich nie posiada, ale nie duma się o nich, bo co blaskiem razi, to już do dumki niesposobne.

Dlatego to ubogi nasz domek, ubogi domek Karpińskiego, tak ciągnie i przywiązuje do siebie, dlatego to opuszczamy go z westchnieniem, a ze łzami witamy, a kiedy myślimy o nim, to nam jakoś na sercu rzewno i miło zarazem.

Bo też ile tam było cnoty, a ile jeszcze się znajduje szlachetności i poświęcenia w tych ubogich ścianach!

A lepione one są, powiada Karpiński, więc się też i rozdważyły czasem; tu i owdzie wkradła się szczelina, tu i owdzie wiatr zawiął, mróz wystąpił białym swoim szronem, albo trochę wilgoci z deszczem kapnęło ze dwora.

A potrzeba było lepic, bo to się też i różny rodzaj drzewa czasem na nie składał, choć wszystko ono na naszej ziemi wyrosło. Tylko że ta polepa miejscami niedość mocno była przytwierdzoną, więc deski odstawały od siebie, i tym sposobem nieraz niezdrowie z zewnątrz weszło. Ale dobry gospodarz, miły bracie, nie ulęknie się tego, zabierze się szczerze do pracy, gdzie należy tam zbije, nie pożałuje topora i kielni, a i żelazo znajdzie się na wiązanie; tylko wara błotem obrzucać, jak to niektórzy czynią, bo błoto żadnej budowy nie umocni. Zasnęnie ono pod szczerym promieniem słońca i opadnie, jak to zwykły los błota, a szczeliny, które przez chwilę zakryło, zostawi ziejące na wiatr.

Ot wiecie co, najlepiej w tym ubogim domku naszym podobają mi się owe małe, różnoszybne okienka, w których się Karpiński tak lubuje. Jedno z nich zielone, drugie wpada w różową barwę, bo słońce je tak przepaliło; a te znowu czysto i tak jak kryształ, aż miło spojrzeć przez nie, tak wszystkie przedmioty zdrowo i jasno przebijają się przez te szybki. A byli niedbalcy, którzy nie mogą znaleźć szkła na nie, papierem stłuszczonym okleili; tym się ćmi w oczach kiedy na dwór wyjrzą, i nie mogą poznać Bożego świata jakim jest. Coż dziwnego? sami sobie winni.

A poprawdzie ile tam jest szybki, tyle i punktów widzenia; nieszczęście tylko, że nie wszyscy patrzą przez jedną, a każdy sobie inną wybrał na swój użytek.

Ten naprzykład nie dorósł do szkła białego i czystego, które gdzieś w samej górze w kącie umieszczono, zielona szybka nawinęła mu się pod oczy, spogląda więc przez nią i wszystko widzi w zielonym kolorze. A nie perswaduj mu że na świecie inaczej: nie uwierzy ci, bo przecież musi ufać własnym oczom, te go nie zawiodą. A biedak nie wie o tym, że jego oczy tak właśnie muszą patrzeć, jak im to niezyste szkło pokazuje.

I wy także bądźcie ostrożni, co przez różową spoglądacie szybko, bo co wam z tego że trochę wzrok swój pobawicie? Na dworze może być zawieja, a wam się zdaje że kwiaty kwitną i słońce świeci; nieopatrzeni, wyjdziecie śpiesznie na dwór, żeby korzystać z tej świetliny uczty majowej jaką wam natura wyprawiła, a tuwiatr mroźny was owieje, ot i choroba gotowa. A potem choć ciepło w domku, choćbyście już ściany dobrze oblepili, choć napalicie sówicie w niepolewanym piecu, to jednak będziecie cherlać i cherlać, i długi czas upłynie, zanim się wywiniecie z tej biedy którąście sami sobie nawarzyli.

Długo było jeszcze o małych szybkach prawić, ale trzeba coś przecie wspomnieć i o tym niepolewanym piecu, który się także upomina o swoje prawa. Z tym piecem inna znów historia...

A bogdajże cię, rozpisalem się jak za dobrych czasów, rozlubowałem się w komentowaniu pięknego wiersza Karpińskiego, a tu przychodzi zecer dopominać się, że już bardzo niewiele mu miejsca pozostaje. Ten Tygodnik tak się zrobił teraz skąpy z umieszczeniem drukowanego... widać że dobrzy ludzie pamiętają o nim i huk mu artykułów nadsyłają. Trudno, w tak dobrém towarzystwie człowiek musi ograniczać swoją gadaninę, żeby i tak licha, jeszcze się gorzej nie wydała. A tu jak na złość leży przedemną kilka koniecznych wiadomości, o których trzeba donieść, i znalazłoby się tego wiele, bardzo wiele, bo każdy dzień coś przynosi, ale nie na wszystko znaleźć się miejsce. Więc do szeregu ustawmy sobie papiery, żeby o ile możliwości jaknajmniej zabrały miejsca, i bierzmy co pod ręką.

Oto wyjątek z jednej korespondencji pisanéj do nas.

„We wsi Zborowie pod Kaliszem, u państwa R**, istnieje od lat kilkunastu przyjęty zwyczaj urządzania *Gwiazdki* w wigilię Bożego Narodzenia, dla dzieci do szkółki miejscowej uczęszczających.

„Osoba dobrego wzrostu, fantastycznie ubrana, z wielką srebrzystą gwiazdą na głowie, z brodą siwą i różgą wielkich rozmiarów, stoi na wywyższeniu, otoczona świerkami rzęśisto oświeconemi, na których wiszą wszelkiego rodzaju podarki, jako to: pierniki, jabłka, fartuszki, czapeczki dla dziewcząt, elementarze, kajeta, czepki, ubiory nawet całkowite dla chłopców, zastosowane do potrzeby i zasługi dziecka.

„Gwiazdka odzywa się przemową, ułożoną do okoliczności, i po kolei z czytania, pisania, ćwiczeń pamięciowych, katechizmu i rachunków, pytania zadaje. Dzieci własne i sąsiadów państwa R**, bez żadnej różnicy, podlegają powyższemu egzaminowi i razem nagrody odbierają z włościanami. Zwykle liczba obdarowanych dzieci dochodzi do 60. Ładny to więc i wesoly widok radością jaśniejących twarzy, niewstrzymywanych wykrzyków podziwiania, do czego dopomagają choralne śpiewy kolęd i piosnek w szkole uczonych. W tym roku dodane zostały dla dobrze już czytających dzieci *Rozmowy dla dzieci wiejskich w szkołach*, napisane wszystkie dla użytku szkółki zborowskiej, a wydrukowane w Trzemesznie. Nadmienić się godzi, że czy to przez wpływ dawno już istniejącej szkoły, a ztąd ciągłego stosunku włościan z dworem, czy też skutkiem już od lat 16 wypuszczonych gruntów na czynsze włościanom, w majątności zborowskiej zadne ze strony włościan nie objawiło się niezadowolenie, krnąbrność, nieuczynliwość lub coś podobnego. Jest to wielką dzisiaj i prawdziwą nagrodą rozsądnego postępowania. Obywatelki nasze dobrzeby zrobiły, naśladowując ten zwyczaj *Gwiazdki*, a może lepiejby było jeszcze urządzać na Wielkanoc *Dynqus*, z powodu że w kwietniu już się po większej części kończy ucześnieanie do szkoły; wiadomo więc które dziecko przez całą zimę najregularniej do niej chodziło, i nagroda sprawiedliwiej może być przeznaczoną.

Korespondent kończy, zalecając prenumerowanie *Kmiotka i Czytelnia Niedzielnej*, szczególnie w karczmach, gdzie te pisma rzeczywiste przysługi oddać mogą, i donosi zarazem że w Kalisziem Kmiołek jest bardzo upowszechnionym i wielu chętnych znajduje czytelników.

Przy tej sposobności dodać musimy, że nietylko liczba prenumeratorów *Kmiotka* powiększa się. Od bieżącego nowego roku pisma peryodyczne warszawskie liczą już razem prenumeratorów przeszło dwadzieścia kilka tysięcy, co w porównaniu zwłaszcza do lat zeszłych, jest znacznym postępem. Szkoda tylko że to polepszenie losu dzienników i pism peryodycznych, wcale nie wpływa na odbyt książek, które bardzo leniwo odchodzą w handlu. Najwięcej obecnie pokaupu mają tak zwane ludowe publikacje, książki elementarne, na użytek klasy uboższej wydawane, bo znamy takie wydania, które w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy się rozeszły; prawda że i cena przystępna miała tu gra rolę. Względnie wielki także mają pokup książki o gospodarstwie wiejskiem traktujące, o czém już z tego samego można się przekonać, że wydawcy nasi bardzo chętnie podejmują się nakładów dzieł tego rodzaju. Rok zeszły, więcej niż któryby inny, sprzyjał wydawnictwu dzieł historycznych, były to jednak po największej części przekłady tylko i kompilacje. Pomiedzy nowościami tego rodzaju, poczesne należy się miejsce *Historii Powszechnej* w skróconym zarysie Henryka Dittmara, przeobrażonej i uzupełnionej przez Oskara Stanisławskiego, której pierwszy zeszyt już opuścił prasę drukarską. Całe dzieło składać się będzie z dziesięciu zeszytów, tworzących dwa wielkie tomy, czyli około sześćdziesięciu arkuszy duku. Braknie nam właśnie tego rodzaju dzieł treściwych, a dokładnie i sumiennie pisanych, zwłaszcza że tłumacz zamierza uzupełnić braki, jakie koniecznie znaleźć się muszą w niemieckim piarzu, którego słowianiszczyna mało obchodzi.

W wielu miejscach kraju naszego spadły tak wielkie śniegi, że komunikacje są utrudnione, co nie przeszkadza wilkom, śmielszym dziś niż zwykle, podchodzić pod wieś i aż na rynki małych miasteczek zaglądać. Sądźmy że ci którzy trują lisy, z wielką szkoda ich futer, powinni przemysł swój przeciwko większym daleko szkodnikom, wilkom, obrócić. Niechaj pamiętają o tym, że natura, która dawniej wilka pędziła do lasu, zrobiła wielki przewrót, bo dziś go z lasu wyciąga na naszą szkodę. I zawierze tu przysłowiu!

Wacław Szymanowski.

SZCZEKOCINY

IPANI STAROŚCINA WOLBROMSKA.

Szczekociny, jak bardzo wiele miejsc w kraju naszym, interesującą mają kronikę swéj przeszłości. Niedługo dziedzictwo Odrowążów Szczekocińskich, którzy znakomity wpływ wywierali na sprawy krajowe za panowania Władysława Jagielly, następnie własność Szczepanowskich, Jordanów, Korycińskich, w r. 1709 nabyte zostały przez Franciszka z Dębian Dębińskiego, kasztelana wojnickiego.

Rodzina Dębińskich h. Rawicz, słynęła w Krakowskiem z zamożności i dobrego imienia. Majątki przez nią nabyte nie przechodziły prędko z rąk do rąk, jak się to często u nas działo i dzieje. Po ojcu Franciszku, objął Szczekociny syn jego Jan, łowczy krakowski, a po nim wnuk, Franciszek starosta wolbromski.

Pan starosta r. 1762 pojął w małżeństwo Urszulę Morsztynównę, słynną z wdzięku, rozumu i energii kobietę. Panną jeszcze będąc, jeździła konno i brała udział w polowaniach nawet na grubego zwierza, nie lękając się ani strzałów, ani klów dzika. Gdy została mężatką, podwoiła upodobanie w tych męskich zabawach, a więcej przypadła do jej gustu sejmiki i obrady o sprawach krajowych, aniżeli uczy i tańce. Wczesna śmierć starosty pozbawiła ją opieki i podpory; ale nie zatrwożyła się tém energiczna niewiasta. Na jej barki spadał ciężar zarządu obszernego majątku, a nadewszystko przewodniczenie okolicy w sprawach ogół obchodzących; wzięła to wszystko na siebie, nie zaniebawszy obok tego starannego wychowania dzieci. O bogatą wdowę liczne pojawiły się swaty, ale starościna odpowiedziała: że myśląc o dzieciach i kraju, nie ma czasu przypatrywać się jak wyglądają pretendenci do jej ręki, a raczej do jej majątku. Taka stanowcza odpowiedź przecięła odrazu wszelkie nadzieje, a starościna, wolna od próżnych zabiegów, znalazła więcej czasu do wypełniania obowiązków matki i obywatelki.

Podług świadectwa współczesnych, przed rokiem 1794 wszystkie wybory urzędników, posłów na sejmy i deputatów na trybunały, nie odbywały się inaczej, jak za wpływem starościny, która trzęsła interesami województwa krakowskiego i sandomierskiego. Zaraz po rozesłaniu uniwersałów zwołujących sejmiki, na umówiony dzień, pani starościna posyłała swego marszałka z kredensową i kuchenną służbą do miasteczka powiatowego Proszowic, gdzie najmowano najobszerniejsze jakie można było znaleźć pokoje, zastawiano stoły, a beczki z winem stały otwarte dla wszystkich. Te wspaniałe podejmowania weszły w obyczaj i rachowano na nie z całą pewnością; to też nikt z jeżdżących do Proszowic nie miał potrzeby opatrywania się w żywność i napoje. Kogo nie mogła ująć pani starościna hojnością, ujmowała go siłą swego rozumu, umiejętnością wystawienia interesu krajowego, i dlatego pewną była swoich kandydatów tak dalece, że nikt nie pomyślał walczyć z niemi o pierwszeństwo.

Umiał ten wpływ ocenić król Stanisław August i starał się usilnie o życzliwość pani starościny, a wracając z Krakowa w r. 1787, właśnie przed mającym się rozpocząć wielkiej pamięci sejmem, wstąpił do Szczekocin w dniu 8 lipca i dwa dni tam gościł. Zwidzając wtenczas kościół w Szczekocinach, zabrał znajdujący się tam oryginalny portret olejny Wespazjana Kochowskiego, a zostawił kopią, przez jednego z otaczających go malarzy na poczekaniu zrobioną; o czém obszerniej przy życiorysie Kochowskiego w Tygodniku pisaliśmy.

Czy te łaski królewskie ujęły przemożną panią starościna, nie wiemy; ale godzi się powątpiewać, bo ona nigdy wahających i niepewnych czynów królewskich nie była otwartą zwolenniczką.

Rok 1794 upamiętnił Szczekociny innemi wypadkami. Kościuszko, postępując z wojskiem ku Warszawie, w dniu 6 czerwca zmuszony był stoczyć bitwę na polach szczekocińskich, która, z powodu niespodziewanego połączenia się wojsk pruskich dowodzonych przez swego króla, z wojskami z którymi bił się Kościuszko, zakończyła się najniepomyślniej. Mimo cudów waleczności, mimo znakomitych odznaczeń się dowódców, wojska musiały się cofnąć, a śmierć dzielnych generałów Grochowskiego i Wodzieckiego, ciężką żałobą okryła szereg.

W zbiorach s. p. Macieja Bajera inżyniera, widzieliśmy plan tej bitwy, litografowany w Krakowie około roku 1800, i żałujemy że nie zostawiliśmy sobie jego kopii, bo mógłby także znaleźć miejsce w Tygodniku, a nie wiemy zupełnie komu się te zbiory dostały.

Po roku 1795 pani starościna, która poprzednio

mieszkała częścią w Krakowie, częścią w Szczekocinach, przeniosła się stale do Szczekocin, ożeniła syna z Katarzyną Gostkowską z Kromolowa, wydała jedną córkę Barbarę za Tadeusza Czackiego, a drugą Salomeę za generała ministra wojny z czasów księstwa warszawskiego, Wielhorskiego.

Czacki, jak tylko utrudziły go praca i gwar miejski, uciekał do Szczekocin i nieraz długo tam bawił. Przytaczamy tu z pamiętników pani Sabiny z G. G. (Bibl. Warsz. r. 1856), zdarzenie wistocie bardzo szczególne, które się Czackiemu przytrafiło w Szczekocinach, w pałacu na rycinie przedstawionym.

Jednego ranku, gdy wszyscy zeszli się na kawę do pokoju starościny, przyszedł i pan Tadeusz, ale tak blady, drżący i pomieszany, że uwagę a nawet przestraszonych obecnych na siebie zwrócił.

— Co tobie jest, panie Tadeuszu? zapytała pani starościna— zdajesz mi się być mizerny; czyś czasem nie słaby?...

— Złe spałem, odrzeczł Czacki — a przytęm miałem zdarzenie tak osobliwe, tak niesłychane, że go nawet opowiedzieć nie umiem, nie śmiem i nie mogę.

To powiedziawszy, wstał od stołu i poszedł do swojego pokoju. Proszę sobie wystawić ciekawość wszystkich obecnych. Pani starościna niebawem wstała także od kawy, poszła do siebie i pełna trwogi i niespokojności, zadzwoniła i kazała zięcia prosić do siebie. Przyszedł Czacki, drzwi zamknął za sobą na klucz, rzucił się na krzesło, a zasłaniając sobie oczy rękami, chwil kilka w głębokim zostawał zadumaniu. Pani starościna siedziała w krzesle przy kominku; długo milczała, ale w końcu, nie mogąc zataić swojej niespokojności:

— Trwożysz mnie, rzecze, jesteś w niezwykłym sobie stanie; coś się dzieje z tobą nadzwyczajnego. Co tobie jest?

— Co mi jest? rzecze Czacki, co mi jest?... Oto ojca mego dziś w nocy widziałem... tak, ojca mego zmarłego; widziałem go, mówiłem z nim, dotykałem się go. Nie był to sen, gdyż doskonale pamiętam, że to siedziało na jawie. O, jakież okropne jego przepowiednie!... Czemuż je mam powtarzać? czyżnie dosyć nieszczęścia gdy przyjdzie!... O jakżebym chciał oddać trapiącą mnie myśl!... Jakoś wczoraj z wieczora, ciągnął dalej Czacki, długo nie mogłem zasnąć; napróżno przewracałem się, oczy zamykałem, gdy nagle zaszeleściła firanka mego łóżka. Pełen trwogi porywam się, i widzę przed sobą wyraźną postać ojca mego. Ubrany był jak go zwykle za życia widywałem: mówił do mnie i mówił dosyć długo.

Czacki, domawiając tych słów, umilkł; starościna patrzyła na niego ze współczuciem zmieszane z trwogą i zdumieniem, ale mu nie przerywała. W końcu Czacki wstał z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. Twarz blada, oczy czerwone, łzami zaszele, nosiły ślady wzruszenia i bólesci. W końcu, jakby nie mógł przewyciężyć miotających nim uczuć:

— Wątpić nie mogę, rzekł przystanąwszy trochę

przed starościna—wątpić nie mogę, że to on, że duch jego zszedł z krain wieczności, aby mi straszne wypowiedzieć prorocstwo.

Tu starościna, przestraszona, poczęła go zaklinać, aby jej objawił przepowiednie ojca.

— Chcesz wiedzieć, matko, dowiesz się, ale uzbroj się w odwagę: *oto wnuk twój ukochany Feliks w przeciągu roku żyć przestanie!*

To wyjąknawszy, nieszczęśliwy ojciec padł prawie

nia, Żyda zaspokoił, ale nie lubił mówić o tej nadzwyczajności, bo jej sobie racjonalnie wytłumaczyć nie mógł. Okoliczność ta wpłynęła mocno na humor i swobodę szanownej tej rodziny: czarny ją dręczył smutek, który zamienił się w rozpacz, gdy rzeczywistość, według słów prorocstwa, Feliks Czacki, syn pierworodny Tadeusza, ukochany od rodziny, pełen nadziei młodzieniec, w rok później żyć przestał.

Po zgonie Czackiego, żona jego a córka starościny, zawarła tajemny związek małżeński z panem Z., co musiano najstaranniej przed panią starościna ukrywać. Domyslała się jednak staruszka, że ciągły pobyt pani Czackiej w Krakowie nie był bez znaczenia, i dlatego coraz mniej względów okazywała swęj córce. Jedyną jej pociechą i podporą była wnuczka Amelia, córka po synie, która do ostatnich chwil ją nie opuściła.

Jako charakterystyczny szczegół o uprzejmiej gościnności pani starościny, przytaczamy tu następujące zdarzenie.

Pani K. z hr. M. Biernacka, odbywając w r. 1816 podróż po kraju, zajechała do austeryi w Szczekocinach, gdzie z utrudzenia podróży trochę zasłabła. „Dumałam, pisze ona (Podróż z Włodawy do Gdańska, Wrocław u Korna, r. 1823), nad stratą czasu, gdy powóz parokony stanął przed austeryą. Ledwo dośłyszałam że służący pyta się o mnie, gdy pan jakiś wszedł do nas. Pudrowany tupet, haarbeitel, frak cynamonowy, żilet z draduru, mankiety anfolażowe, laska z gałką i sygnet ametystowy, nie pozwalały się mylić, że widzę przed sobą doktora. Jakoż zgadłam: był to nadworny lekarz, przysłany dla zaproszenia mnie, jako choręj, do przyjęcia stancyi wpa-

lacu. Zdziwiona prawdziwie tak nadzwyczajną w wieku naszym uprzejmością, poznałam że jestem w Krakowskim, i sądząc że nie można lepiej odpowiedzieć tej uczynności, jak ją przyjmując z uszanowaniem które wzbudza, poddaliśmy się z mężem woli tak gościnnej, by poznać panią dawnych polskich obyczajów i dom urządzonej w staropolskim smaku, a tak wspólnym, dobroczynnym i zamożnym i tak teńnym ludzkością, że już przy schodach stary Bartłomiej uśmiecha się przybywającym gościom. Zabawiwszy w pałacu szczekocińskim tydzień cały, który pomiędzy najmiłszymi tygodniami życia policzę, pożegnałam to miejsce i t. d.

Pani starościna przyzodobiła Szczekociny wspaniałym pałacem, który tak pod względem zewnętrznej struktury, jako i wewnętrznej urzędowania, nie pozostawia nic do żądania. Salon dwupiętrowy zadziwia ogromem, a ściany adamażkami i drogiemi makatami pokryte, sufitu rzezbami ozdobione, świadczą o wytwornym guście założycielki.

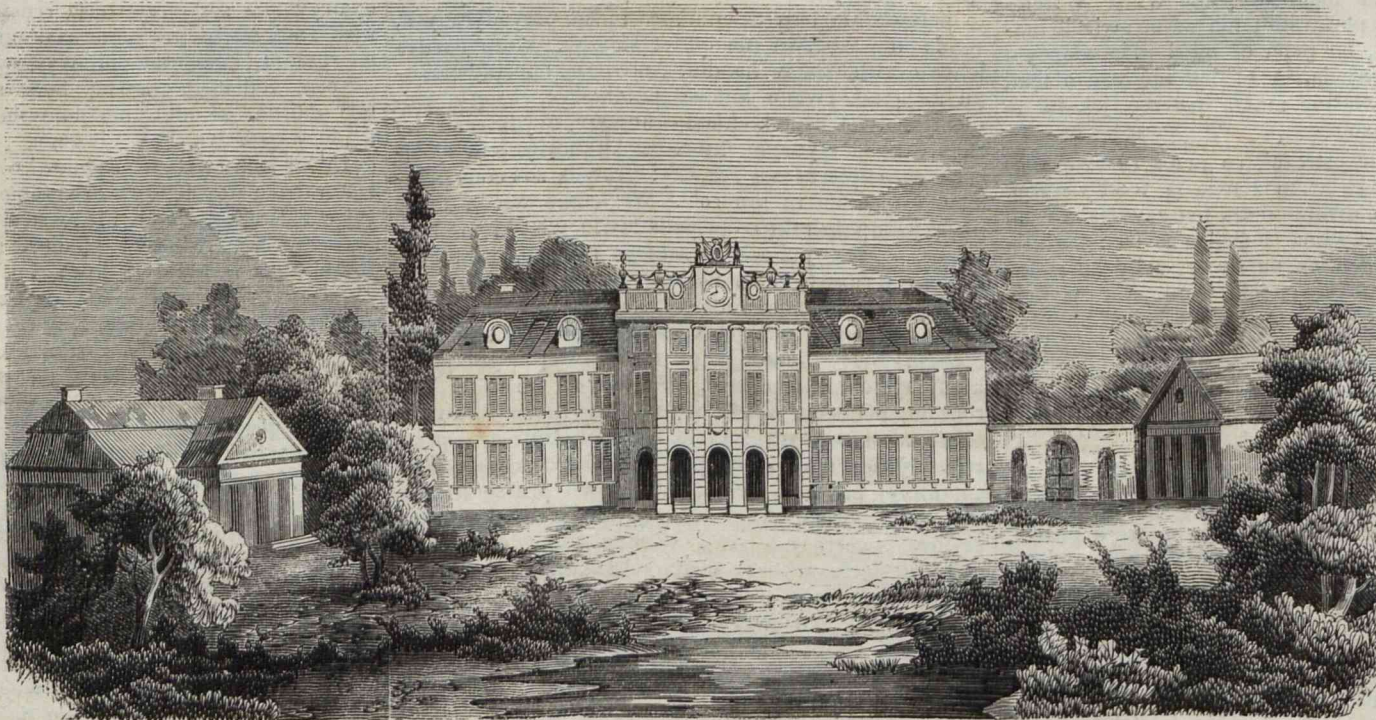
W kościele szczekocińskim, którym się szczególnie opiekowała, wystawiła wspaniały nagrobek dziadowi, ojcu i mężowi Dębińskiemu, z następującym napisem: „Franciszce Rawicz z Dębina i Krystynie z Borków Dębińskim, kasztelanów wojnickich, jako wnuczki; Janowi i Maryannie z hrabiów Krasickich, łowstw krakowskim, jako synowa; Franciszkowi staroście



KOŚCIÓŁ W SZCZEKOCINACH. (Rysował z natury Szlązkiewicz).

bez przytomności na krzesło. Po krótkiej chwili, otrzeźwiwszy się trochę i przebudziwszy jakby ze snu, ciągnął dalej swoje opowiadanie. Oświadczył staroścince że ojciec jego, wzięwszy za życia od Żyda w Porrycku zamieszkałego 500 dukatów, umarł wkrótce, nie dawszy na tę sumę rewersu i nie zostawiwszy żadnego śladu tego długu, ani w papierach, ani w notatkach swoich. Napróżno Żyd poszukiwał swojej na-

leżytości u massy, żądającej dowodu, którego nie mógł jej okazać. Otóż owęj pamiętnej nocy, starosta Czacki upomniał syna o oddanie tego długu. Jak wielu uczonych, wyłączenie oddających się jednemu przedmiotowi, Czacki nie był pietystą, ale bynajmniej nie dzielił niewiary i bezbożności, tak w modzie między uczonemi owych czasów będącej; wierzył w Boga, w nieśmiertelność duszy, miał religią w poszanowaniu. Głęboko przekonany o prawdzie swojego widze-



PAŁAC W SZCZEKOCINACH. (Rysował z natury Szlązkiewicz).

wolbromskiemu, jako małżonka, Urszula z Morsztynów Dębińska za dług wdzięczności ten marmur kładzie, r. P. 1780, prosząc czytelnika o pobożne za dusze ich westchnienie do Boga.“

Dobiegając osmdziesięciu lat wieku, zgasa staruszka na rękę swęj wnuczki Amelii, późniejszej Leonowej Dembińskiej, w r. 1824, zachowawszy do ostatnich chwil czerstwość umysłu. Ksiądz Chłoniowski, który odwiedzał panią starościny w Krakowie, gdy miała już przeszło 70 lat życia, podziwiał jej przytomność i wszechstronne wiadomości, utrzymując że z jej zgonem poszła do grobu powaga matrony polskiej, pełna wdzięku i nieudanęj wesołości umysłu, niezwalczonęj wiekiem. (Dwa wieczory u pani starościny wolbromskiej, Wilno r. 1843.) (*)

Ant. Wien.

KILKA ODPOWIEDZI NA JEDNO PYTANIE.

Już tak zupełnie od pewnego czasu wycofałam się z literackich szranek, że gdy mi 113 numer Tygodnika Ilustrowanego przyniesiono, nie chciałam uwierzyć nawet, aby to do mnie i o mnie drukowane być mogło: *Gabryelo?* „Są przecież inne piszące Gabryele, mówiłam sobie; kto wie zresztą czy anonim do anonim jakiej się nie odzywa? Prawda że ja raz w życiu o „kwestyą podrzędną“ zaczęłam piórem, ale mię dosyć ludzie z różnych stron nałajali za jej niedołężne przeprowadzenie, za brak ostatecznego rozwiązania i za szczere wyznanie własnej pod tym względem niekompetencji. Jakżeby dzisiaj zgłaszano się do mnie z kwestyą wcale, jak widać, dla pytającej niepodrzedną? Wyraźnie to nie mój adres na tej kopercie być musi.“ I tak zaspokoiwszy sumienie, cichuteczko, według zwyczaju, siedziałam sobie, gdy mi jeden z następnych numerów Tygodnika niemałego narobił kłopotu. Szanowny redaktor czarne na białém wydrukował, że przez jego pismo tę właśnie

powołują Gabryelę, która niegdys „Pogankę i Książkę pamiatkę“ ogłosiła. Miałabym jeszcze prawdowiesć jak najdowodniej, że owej Gabryeli już niema na świecie, bo niema chwili owej która wtedy była, i niema zbiegu owych konstellacyj na niebie, i niema owych anemonów, mirabilisów, które na ziemi rozwijać się miały; i są znów błędne, niespodziewane komety, co nad horyzontem złociste włoką warkocze, są wzdłuż gościńca krzaki cierniowe, są kamyki i kamienie; a wszystkie z tej samej skały, co

ją nieboszczyk Syzyf pod górę windował. Oho! długi i szeroki akt zejścia tamtej Gabryeli napisacbym mogła, lecz dlatego właśnie że długi i szeroki, więc już wolę poprostu odpowiedzieć, nie nekrolog przesłać. Niechaj mi nieznajoma pytająca wybaczy, że się tak późno do tego zabrałam; różne były przeszkody, a zwłaszcza ta, że własnej nie ufając powadze, chciałam się wesprzeć tu i owdzie ubieranemi zdaniem. Rzecz szła w przewłokę, bo ludzie teraz nader rzadko psychologiczno-sentymentalne roztrząsają wątpliwości. Udało mi się jednakże kilka przynajmniej wy-

(*) Zapewne czytelnicy nasi podzielią z nami zadziwienie, że w Encyklopedyi wychodzącej teraz w Warszawie, gdzie jest mowa o kilkunastu Dębińskich, niema żadnej wzmianki o pani starościny wolbromskiej, która tak znaczny wpływ na sprawy krajowe wywierała. (Przyp. aut.)

roków otrzymać, i temi dzisiaj z nieznajomą J. się dzielę; tylko zastrzegam sobie, aby pamiętała że dziele się w charakterze protokulisty, nie sędziego. Całą zasługą moją wierność w powtórzeniu i porządek w rozkładzie.

Pytanie: Czy istota która pierwsza gorzki smak rozczarowania czuć nam dała, jest za to odpowiedzialna? Czy ona stanęła na życia naszego drodze jako fatalizm, jako złe konieczne, czy jako wina?

1. *Odpowiedź liryczna.* Jako wina, jako wina, jako wina!... Czas już przecież w opiniach towarzyskich znaleźć wyraz stosowny dla tych ludzi, co bezbożnie łupią świątynie serc bliznich i odzierają pod własny namiot przyjętego podróżnika. Zbyt długo milczał głos publicznej wzgardy i sami może przestępcy nie wiedzieli jak się ich przestępstwo nazywa. Trzeba na koniec bez ogródki się tłumaczyć. Mówiono dotych-

zmienia wyboru jako pies i osieł, bo ma każde uczucie swoje boskim nieskończoności podsycone pierwiastkiem. Jeśli trafia bez zmyłki, to i kocha na wieczność całą, a gdy tak kochać nie może, to przynajmniej cierpi i tęskni, płacze i wyrzeka, nie zaś raduje się lub pochwała. Wesoły zmiennik, pawiąca się zmiennica, to głupcy tylko—to głupcy! Państwo, powtórzcie ze mną: to głupcy! moralniejszy skutek otrzymacie, niż gdybyście powiedzieli: to zbrodniarze!

2. *Odpowiedź mizantropijno-pomysłowa.* Rozczarowania ani grzechem, ani nieszczęściem, zmiennictwa ani głupstwem, ani zbrodnią nazywać nie można. Rozczarowanie jest zwykłym processem życia. Każdy się musi kiedyś kimsi lub częmsi rozczarować, jak każdy musi w siódmym roku zęby zmienić, musi przebyć odrę i szkarlatynę, musi na starość osiwieć, jak musi jednem słowem umrzeć, dlatego że się urodził.

3. *Odpowiedź żartobliwa.* We wszystkich bajkach zawsze słyszmy, że kiedy baba-jędra, lub czarownik jaki chcą komu co złego zrobić, to go „zaczarują“, a kiedy mężny rycerz, lub pielgrzym pobożny, lub pacholę niewinne chce co dobrego zrobić, to zaczarowanego *rozczaruje, odczaruje*, czy jak tam lepiej wam się podoba, dość że skruszy siłę zaklęcia i biedną ofiarę do naturalnego przywróci stanu. Mnie się więc zdaje, że za wszelkie *rozczarowanie* wotum wdzięczności głosować należy.

4. *Odpowiedź fantazyjna.* A ja myślę że wniesiona sprawa bardzo jest dla „powoda“ (termin prawny) niebezpieczną. Jeśli duszę rozczarowującą i duszę rozczarowaną przed trybunał najwyższej instancyi zapozwiemy, bodaj czy ta ostatnia na grzywny skazana nie zostanie.

— Duszo rozczarowana, powiedz nam, azali kochałaś tę oto, którą widzisz, duszę rozczarowującą?

— Kochałam.

— Duszo rozczarowująca, czy kiedy cię ta oto, którą widzisz, dusza rozczarowana kochała, byłaś taką samą jak teraz jesteś?

— Byłam taką samą.

— A więc ty,

duszo rozczarowana, z początku miałaś tyle uczucia,

ile go nazaśle-

pienie potrze-

ba; teraz ja-

śniej przejrza-

łaś, bo mniej

już kochasz.

Starczyło ci mi-

łości, póki star-

czyło pochleb-

stwa i szczę-

ścia, zabrakło

jej, gdy przy-

szło znieść tro-

chę zaniedba-

nia i cierpie-

nia. Duszo roz-

czarowana, sa-

ma właśnie

zmiennica je-

steś, a piszesz

oskarżenia

i sprawdli-

wości się do-

magasz. Spra-

wiedliwość

względem cie-

bie taki wyrok

głosi: „Zapłać

koszta proces-

su i wracaj do domu.

5. *Odpowiedź polemiczna* (z poprzedniej wypływająca). Bardzo przepraszam, proces mógł wziąć zupełnie inny obrót:

— Duszo rozczarowana, powiedz nam, azali kochałaś tę oto, którą widzisz, duszę rozczarowującą?

— Kochałam.

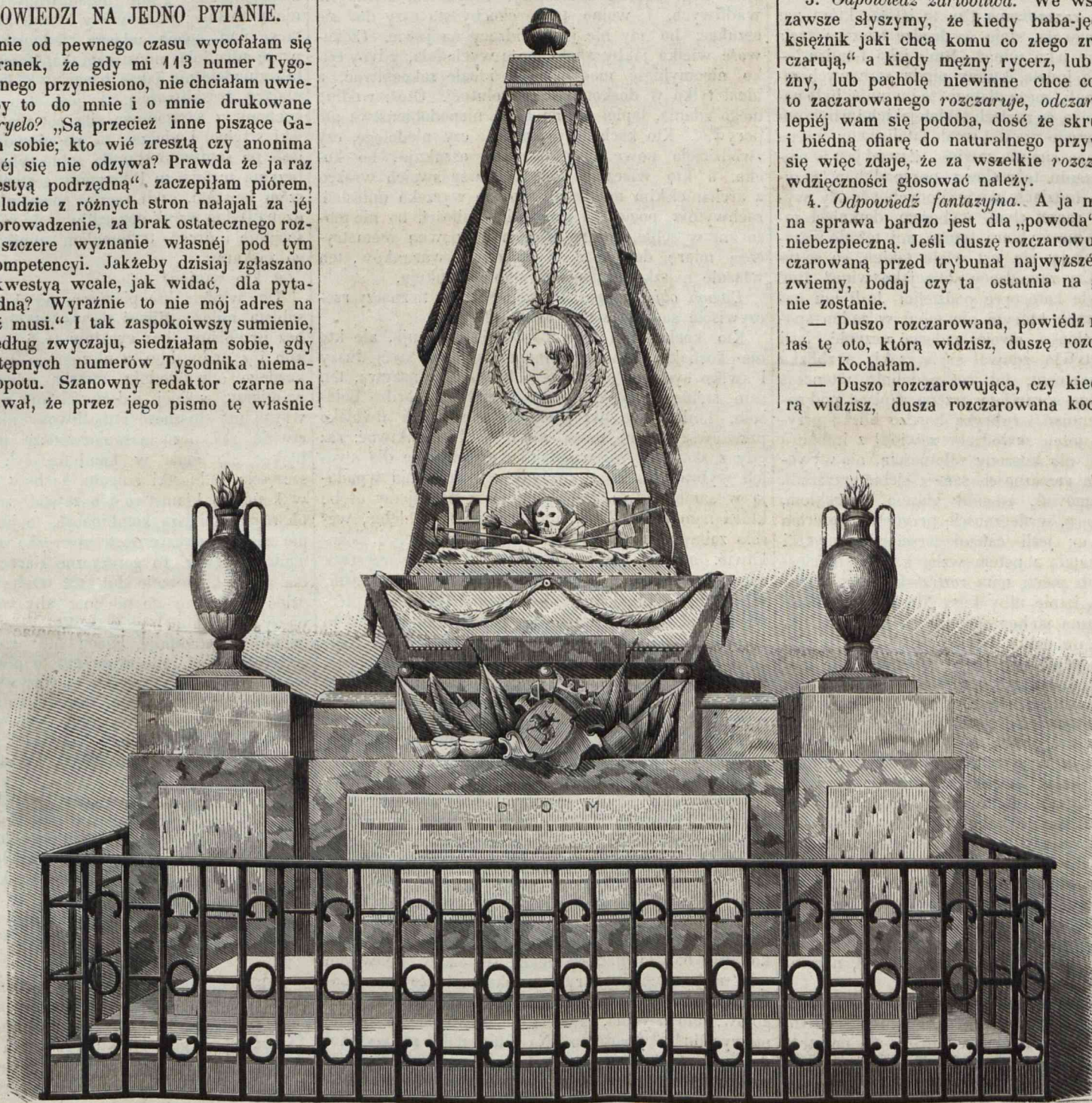
— Duszo rozczarowująca, czy kiedy cię kochano, byłaś taką samą jak teraz jesteś?

— Nie, pierwój byłam lepszą, a teraz jestem gorszą.

— A więc zapłać koszta processu, ty duszo rozczarowująca, zepsuta, zawodna, i marsz do kozy, na cały miesiąc przynajmniej.

6. *Odpowiedź także polemiczna*, (z odpowiedzi piątej wypływająca). Jeszcze bardziej przepraszam. Dusza rozczarowująca przyznaje się, że gdy ją zaczęto

czas: lekkomyślność, szalone szczęście podobania się, zręczność, płochość, zalotność. Mówmy wręcz: oszustwo, potworność, kradzież, złe obyczaje, brak serca, czczość rozumu, a nade wszystko mówmy: głupstwo! Tak zwani seduktorzy z professyi i kokietki z powołania, mają się zwykle za jakieś uprzywilejowane, bogatsze osobistości; ten jeden wyraz może ich rzeczywiście oświecić: głupstwo! Głupstwem jest brak pewnej władzy umysłowej, głupstwem jest niewłaściwe jednę zamiast drugiej użycie, zkad nawet poszło że i waryacją „pomieszaniem zmysłów“ nazywają. Otóż takim ludziom brak władzy ukochania; próżność swoją biorą za potrzebę artystycznych wrażeń, więc głupcy! Człowiek w naturze doskonalszej, umie wybrać najlepszą i najodpowiedniejszą dla duszy swęj duszę; człowiek w naturze uszlachetnionej, nie



Pomnik wystawiony przez Urszulę z Morsztynów Dębińską, mężowi swemu, Franciszkowi staroście wolbromskiemu, oraz rodzicom i dziadom jego, w kościele w Szczekocinach. (Rysował z natury Szlązkiewicz).

kochać; była lepszą, a później gorszą się stała; najwyższa instancja tak przeto zawyrokować powinna:

— Duszo rozczarowana, wzięłaś tę duszę rozczarowującą w lepszym stanie, wzięłaś ją czystsza, prostsza, a oddajesz zmiętą, poplamioną, powykrzywianą; wzięłaś na podniesienie, a oddajesz zniżoną; wzięłaś do pożącenia, a oddajesz wytartą; wzięłaś do udoskonalenia, a rozbudziłaś w niej wszystkie ujemne, truciznowe pierwiastki, wszystkie samolubne popędy, wszystkie wadliwe skłonności. Duszo rozczarowana! przypuszczamy że nie miałaś tego w zamiarze, ale patrz sama, że stawiałaś to w wykonaniu: czy przez chciwy na drobiazgowe przyjemności despotyzm, czy przez niewczesną admirację, czy przez rozrzutność grzesznych ofiar,—niech twoje własne sumienie rozpozna. W każdym razie przyznaj się do winy, uderz w piersi pokornie, zmów confiteor i nie miej po wiek wieków do tej duszy rozczarowującej żadnej a żadnej pretensji.

7. *Odpowiedź rozsądkowa.* Czy ta istota, która nas pierwsza rozczarowała, staje w drodze naszego życia jako fatalizm, czy jako wina?—Hm! jako fatalizm?—niekoniecznie. Są ludzie, którzy nigdy sercowych zawodów nie doznali, może dlatego, że im mniej było potrzeba, może dlatego, że znaleźli takich jakich im było potrzeba. Zawód przeto nie jest wcale fatalizmem: można się zawieść, można się nie zawieść. Zawód jest w najściślejszym znaczeniu tego słowa „przypadkiem, przynagoda.“ Mówią o ludziach zawiedzionych, że zły wybór zrobili; oni raczej złym wyborem dotknięci zostali. Nikt sobie nie wybiera tyfusu, ani też nie wszyscy na tyfus chorują; ale jest wielu takich, co są tyfusem rażeni.—Czy zawodzący staje jako wina? Hm! to trzeba na dwie kategorie podzielić. Jeśli mu narzucono wymagania, którym nie mógł w żaden sposób według zdolności swojej zadosyć uczynić, jeśli np. w perspektywie zdawał się wysoki, a zbliżka był średniego wzrostu, lub coś podobnie, wtenczas zawód przez niego sprawiony trzeba zapisać pod rubryką „nieporozumień“, rubryką bardzo bliską przypadkowości. Ale jeżeli zawodzący zawiódł z intencją zawiedzenia; jeśli nie kuszony zalotnością, nie wywołany na żadne grzeczności, sam z siebie przyszedł, okłamał, odekłamał, znamil głosem, wzrokiem, służbą uprzedzającą, serdecznością przynętą, pozorem najszlachetniejszym; jeśli całymi garściami kamycki z pod stóp odmiatał, a potem wziął kamień najcięższy i o głowę lub piersi nam roztrzaskawszy, zakręcił się na pięcie, istnie niby kusy Niemiec, i zniknął, no, wtenczas można go bez ogródki na liście złodziejów-rozbójników umieścić. Jest winny!—Ale w dalszym ciągu *Jednego pytania*, tego zrozumieć nie mogę, czemu tak bardzo zwyczajne zdarzenie ma nas skarbu wiary pozbawiać, moralnie zabijać, przeszłość unieważniać i przyszłości przeczyć. Tego nie rozumiem. Inna rzecz mój guz na czole, wyrażmy się estetyczniej, inna rzecz moja rana w piersiach, a inna znowu wiara w ludzi, moralność, prawda przeszła, terażniejsza i przyszła. Inna rzecz kupiec szachraj, a inna towar którego poszukujemy. Inna rzecz nieszczęście, traf, cierpienie, a inna rzecz obowiązek, cel życia, religia. POCO koniecznie jedno z drugim mieszać? Tego nie rozumiem,—a tęsknić za marzeniami, za złotą, *dziesięć* ufnością, a choćby *jedną wybraną istotą nie zawiódła*, o tym nie wiedzieć, nie słyszeć, nie czytać przynajmniej, że *może zawięść druga i trzecia*,... fantazyje, mazgajstwa patologiczne jakiegoś, nerwowe fenomena. Tego nie rozumiem.

8. *Odpowiedź absolutna i moralna.* „Gorzki smak rozczarowania, jest złem koniecznym,“ tam gdzie było *zaczarowanie*. Wina jest ciężka bardzo, ale po stronie tego, co się czarować dozwolił. Tak zwane przypadki życia, układają się zawsze w równowagę do pierwiastków jawnych lub skrytych, które w duszy naszej nosimy. Kto ma przy sobie święte relikwie, na tego czary nie zadziałają, kto ma serce pełne prawdy, ten instynktowo wstręt do fałszu czuje i pod najszustszym kostiumem kusego Niemca rozpozna. Ludzie z muzycznym uchem, wśród tutti orkiestrowego, umieją łada półtonik chybniony dosłyszec; a miłość prawdy, owa supra-muzyczna zdolność, ów słuch wewnętrzny dla objęcia harmonii Bożej darowany człowiekowi, miałaby mniej być na kłamstwa i dyssonanse wrażliwym? Nie, nie! zawód wszelki jest prostym niższej gatunkowości wyrobem, grzesznych usposobień następstwem. Kto pierwej sam siebie nie oszuka, tego nigdy drudzy nie oszukają.

9. *Odpowiedź empiryczna i względna.* Gdybyśmy po obłokach latali, po gwiazdach i po słońcach, gdzie anioły unisono duety wypiewują, gdzie ideał za ideałem, jak zóraw za zórawiem ciągnie, gdzie kochanie tylko do cnoty, jak opiłka żelazna do magnesu przylega, słusznym byłoby na sąd potępienia wydać wszelkie uczuciowe omyłki. Lecz my po błotnej, piaszczy-

stę, zaśniewanej, jałowcami obrosłej, glistami przenieurtowanej ziemi chodzimy. Nie wszyscy jesteśmy tak muzycy, żeby każdy ton fałszywy w orkiestrze rozróżnić, nie wszyscy jesteśmy naczyńiami wybranymi, organami harmonii, skrzyniami pełnymi prawd Pańskich, a wszyscy jednak potrzebujemy współczucia, szczęścia, ukochania. Dla nas więc, jako tłumu powszedniego, musi być inny kodeks ułożony. Zawodu z grzechem w synonimy nie godzi się zestawiać. Co tylko błysnie pozorem, co zaświeci nadzieją, co dzwienne obietnicą, co przyciągnie powabem wzajemności ożywczej, to mamy prawo chwycić jak najspieszniej, bo życie strasznie ciężkie, praca okropnie nudna i trudna, świat jeszcze zadziwiająco bezsilny i martwy. Miłość wzmacnia, krzepi, pociesza, czasem odurza, jak chloroform przy chirurgicznych operacjach, często bardzo cuci, jak wódka kolońska, podtrzymuje, jak proszek piżmowy. Byle więc kochać, to nam wolno kochać kogo chcemy i możemy: brzydkich, ułomnych, wadliwych, i wolno także choćby sto razy dać się oszukać; bo my nie jasnowidzący na jawie. Ciekawość wielka jakby społeczność wyglądała, gdyby tylko nieomylnie mogła się w ideale zakochać, a ideał tylko w doskonałości absolutnej. Otóż, według mego zdania, lepiej się na takie niepodobienstwa nie porywać. Kto kocha czy kalękę, czy niedołęgę, czy zwodziciela nawet, ten się nie oszukuje, bo kocha, a kto wiecznie stoi na straży swoich wrażeń z archańskim mieczem, kto się wyrzeka uniesień, zachwytów, pociech i zmartwień miłości, bo nie może ani w sobie, ani w drugich na pewną geometryczną miarę dociągnąć wymaganych warunków, ten właśnie najskaradniej sam siebie oszukuje.

Uwaga objaśniająca. Po pierwsze: co to znaczy rzeczywiście samego siebie oszukać?

Kto kocha, ten sam siebie nie oszukuje, ale kto nie kochając, mnóstwo innych stanów swjej duszy i swego systemu nerwowego kochaniem nazywa, ten sam siebie oszukuje bardzo brzydko i bardzo boleśnie. Ludzie we wzajemnych stosunkach dwojako przedewszystkiem mogą sami siebie oszukiwać: raz gdy z samolubstwa wpadają w uwielbienie dla swoich wybranych, drugi raz gdy z uwielbienia wpadają w samolubstwo. Dajmy na to że poznajemy osobę która nam się podoba; umię zrzecznie pochlebić, wesolo zabawić, magnetycznie rozmarzyć, nęcąc zaciekawić; my też od razu przyjemność jej towarzystwa, rozmarzenie nasze, niespokojność naszej wyobraźni, w summie ogólnej *miłością* zowiemy. Gdybyśmy pierwiastki składowe właściwie ponazywali, byłaby to może i miłość zresztą, miłość na jaką uczuć i zdolności nam starczy; ale duma nie pozwala tak ciasną prostotą się ograniczyć. Według jej poszeptów, serce nasze, wzniosłe i szlachetne, nie dałoby się przecieżyć wzruszyć do głębi jedwabnym słówkiem pochwały, tém mniej przeciągłym ciemnym lub jasnym oczu spojrzaniem, a dotknięciem drżących ręki... Fel to niepodobna! Logika nasza w tym sensie układa stanowczy syllogizm: „Tylko essencja cnoty i poświęcenia z duszy cnotliwej i poświęconej miłość wywołuje; ponieważ zaś dusza nasza jest cnotliwa i poświęconą, a racy kochać to indywiduum, więc to indywiduum musi być essencją cnoty i poświęcenia.“ Na takiej wynikłości się opierając, zaczynamy dobierać piedestałów i draperyj, hymnów pochwalnych i wonnych kadzidel dla sztucznego idealiku. Zrazu wszystko idzie bardzo gładko; idealik się cieszy, że w nim tyle nieznanych nadekrywano skarbow, że sam o sobie dowiedział się pełno pięknych i ciekawych szczegółów; ale z wolna, z wolna poczuwa się w trochę niewygodnym położeniu. Na piedestale za wysoko, draperyje zbyt długie, hymny drżącymi przeszkadzają, mocne kadzidło krztusi i w nosie kręci. Trzeba kichnąć... trzeba się skrzywić. Przebóg! idealik co się krzywi i kicha! Dopieroż to rozpoznajemy wszelkie inne od mitologicznego pierwowzoru zбочenia. Rospacz nas ogarnia, wołamy: „zawiódł, oszukał, rozczarował... kiedy po sprawiedliwości należałoby raczej że skracają cichutezko szepnąć sobie: „zawiódł, oszukał, rozczarował, rozczarowałam się...“ co wszystko razem znaczy: „nie kochałam prawdziwie, tylko mi się chciało temat upodobania na wielką fantazyją admiracji przerobić, a ztąd fiasko i w uszach piszczy.“

Ale jest gorsza od tej smutnej a własnowolnej mistyfikacji omyłka; zupełnie równogatkowy otrzymujemy skutek, gdy znów odwrótną koleją, słusne uwielbienie chcemy gwałtem do pudełeczka jako własność wyłączną, między cacka i klejnociki zapakować. Jesteśmy tak szczęśliwi np., że istotnie zdarzyło nam się w bliższym stosunku z wyższą i doskonalszą osobistością stanąć. Szukujemy jej charakter, podziwiamy rozum, wierzymy w prawosć celu i pobudek jej pracy, jasno się nam robi od jej myśli promiennych, krzepko na duszy od jej woli wytrwałej, pięknie

w oczach od jej moralnego piękna, błogo w sercu od jej dobroci. Gdybyśmy na tém poprzestali, byłoby nam zdrowiej i użyteczniej; lecz na nieszczęście pokusa przychodzi; zdaje nam się że taki szereg czystych wrażeń miłością nazwać, to szczyt prawdy, a miłość wzajemną wywołać, to szczyt szczęścia, to siódme niebo... Tymczasem z eterycznej empirji cudny meteor w samo piekło spada. Uwielbienie fermentujące fałszywym pierwiastkiem nienaturalnej skłonności, szamoce się ciągle w wymaganiach i nieporozumieniach. Za co innego uwielbiono, czego innego od wyłącznej miłości się żąda. Uwielbiono znakomitego człowieka, za dzieło które napisał, wymalował, odegrał, za czyn który spełnił, wyrazy które mi los państwa rozstrzygnął; pokorna wielbicielka warkoczami swojemi prochy przed nim umiatać gotowa; przeciwnie zaś kochanka staje się pochłaniająco - chciwa, wiecznie niezadowolona, i pod każdym względem niebezpieczna. Psuje uszanowany charakter niewolniczą obsługą; podziwiany rozum zaprzęga do medytacji nad swoją własną, jednostkową psychologią; pracę utrudnia mnóstwem zapotrzebowanych starań, lub zniechęca jakąś haremową, lękliwą, znikczemniącą troskliwością. A jeśli ten, co jest tak niby kochany, z samsonową siłą potarga więzy złości, to jeśli słycać i płacze, to na niewdzięczność skarga; jeśli po samsonowsku da sobie włosy ostrzyżz i z olbrzymia trefnieniem Filistynów zostanie, to przy pierwszym lepszym, czyli raczej gorszym uchybieniu, znużona Dalila wzrok pogardliwy odwróci, gniewne brwi ściągnie i przed trybunałem opinii o *rozczarowanie* go zaskarży.

A kto winien?

Ten winien, kto pierwszy wziął uwielbienie za osobistą miłość. Miłość ze wszystkiem da sobie radę; bez przepisów, bez cyrkłów trafi ona do ładu z wielkim i z małuczkim, z nieznanym i ze sławnym; dla każdego odpowiednią miarą odpowiednie uczucie wymierzy; swojej należności nie zaniecha, lecz też więcej niż słusność i możliwość nie weźmie; przeciwnie zaś uczucie samozwańcze po wiek wieków błąkać się musi w kombinacjach praw ofiary i szczęścia, jednostki i ogółu, zachęty i krytyki, aż się w końcu o kłamstwo i o zawód rozbije,—o zawód, bo najrzeczniejsza kombinacja, najmądrzejsza teoria nie zastąpi gorczyzennego ziareczka choćby wcale nie mądrej miłości. To gorczyzenne ziareczko trzeba w sobie mieć koniecznie, lub też trzeba koniecznie wiedzieć kiedy się go nie ma, aby we własnej piersi więzy Babel nie budować. Kto pieszczoł tylko i przyjemności potrzebuje, niech nie woła „ideał.“ Kto uwielbił ideał, niech się mu o pieszczoły i przyjemność nie naprzykrza, bo to wszystko jest grzechem, nieszczęściem, zawodem, rozczarowaniem, czyli ściśle a sprawiedliwie się wyrażając, jest właśnie „oszukiwaniem samego siebie.“

Uwaga wtóra objaśniająca. Czy tylko doskonałość kochać nam wolno?

Nam wolno kochać, kogobądź kochamy: dla ubezpieczenia wszelako miłości naszej przeciw różnym zewnętrznym i wewnętrznym przygodom, bardzo zbawionym jest środkiem chociaż kiedy niekiedy za doskonałością potęsknić, a zawsze tę, która w nas jest, niedoskonałość rozumiąć.

Wszystkie te odpowiedzi i uwagi między zacnem ludźmi zebrala.

Gabryela.

Jeśli pytająca czegoś więcej spodziewała się po niej, ach! to bardzo przepraszam za nowe „rozczarowanie,“ tylko fatalizmu, ni winy na swój rachunek nie biorę. Więcej ten grzeszy, kto do zawodu sposobność nastęrcza, niż kto zawodzić musi, pierwszy wystawia się jedynie na lekką przykrość, drugiego i przykrość i upokorzenie nieochybne czeka.

Gdybyż mi było danem nigdy nikogo nie zawieść!

Zmichowska.

SZKOŁY POPRAWCZE DLA ULICZNIKÓW.

I.

Przechadzający się po wygodnych chodnikach Krakowskiego - Przedmieścia świat modny, ani domyśla się często iż trochę niżej ku falom wiślanym, istnieje świat inny, zupełnie różny od tamtego. Bo i powiedzcie szczerze, moi czytelnicy, czy wielu z was zna błotniste ulice Powiśla? czy wielu ośmieliło się choć raz w życiu zapukać i przestąpić próg tych małych, dziwnie koszlanych dworków na Browarnej lub Czerniakowskiej ulicy, gdzie mieszka najliczniejsza klasa ludności naszego miasta? Gdyby te ulice stanowiły cząstkę przedmieścia św. Antoniego, ani wątpię iż niejeden z naszych turystów chętnieby je odwiedził,

rozumie się dla rozrywki, aby następnie długo o tém rozprawić w salonach, kreśląc delikatnie obrazy nędzy paryskiej. Ale zajrzeć w oczy własnej nędzy, i to na jej śmieciisku, brodzić w błocie tych ulic cuchnących i niebezpiecznych, wdzierać się na piętra i poddasza, lub zstępować do suteren, co za satysfakcja? Po co? Rzuć złotówkę zawadzającemu na chodniku żebrakowi, złożyć składkę jako członek jakiego dobroczynnego towarzystwa, na to się jeszcze zdobyć... ale więcej nie uważamy jeszcze za potrzebne. Po co?... Trzymałem się i ja tego zdania, i choć urodzony warszawiak, znalazłem stolicę tylko strojną, codzienną, lubo niedbałą, umiecioną i oświetloną, mówiącą prawdę, niezbyt jasnymi płomieniami gazu.

Naraz obowiązek obywatelski rzucił mnie w ów ubogi i nieznaną zakąt Warszawy. Była to nowa dla mnie i ciekawa wędrownka, i od tej chwili bywam tam częściej, nie żałując trudu. Jakim sposobem dostałem się pewnego razu przed niski domek na Tamce, nie należy to do mego opowiadania; dość że nachylając się ostrożnie, przeszedłem błotnistą sien owego domostwa, dalej do jeziora podobne podwórze, znów jedną oficynę z długim, ciemnym korytarzem i jedno jeszcze podwórko balami drzewa zawalone, a dopiero po kilku schodach na dół, dostałem się do ubogiej izdebki, gdyż tak nazywał gospodarz kąciak ze starej komórki przerobiony. Cóż wam opisać? Nędzę! Przez maleńkie, zakopcone okienko przekradające się światło, w półcieniu utrzymywały się szczegóły, między którymi odznaczał się wybitnie obszerny ale połamany i poplamiony fotel. Na nim siedziała kobieta z kwilacem dziecięcym na ręku. Postać i rysy twarzy, lubo skurczone zimnem, noszące ślady niedostatku i zmartwień, świadczyły przecież o lepszej przeszłości, która może minęła niedawno... Była to kobieta w sile wieku, wdowa po b. wojskowym polskim, niegdyś dziedziczka znacznego majątku. Pomoc tej biednej została mi poleconą, ale pomoc rzeczywista, nie jałmużna przelotna. Wdowa upadła, przytłoczona ciężarem nędzy, którą powiększało troje dzieci: dwóch po kilkanaście lat liczących wyrostków i czteroletnia córeczka. Przedewszystkiem więc szło o ulżenie jej ciężaru, i w tym celu dla dwóch chłopaków wyrobiono pomieszczenie w znanym zakładzie przy ochronce na ulicy Czerniakowskiej. Missyją moją było odstawić ich tam. Rzecz z pozoru łatwa, w wykonaniu upewniła mnie o trudnościach z jakimi częstokroć łamać się musi miłosierdzie.

Wdowa przyjęła mnie z zakłopotaniem właściwem ludziom wstydzącym się obecnej swej nędzy. Biedna niewiasta potrzebowała jednak ulżyć sobie wylaniem żalu, rozkryciem swego położenia. Objawilem zamiary dobroczyńców wydzwignięcia jej z nędzy i postanowienia w możności zapracowania na życie. Zapytałem potem o synów, aby ich natychmiast zabrać. Chłopców nie było w domu; posłano więc po nich. Matka tymczasem ostrzegła mnie z nieśmiałością o charakterze swych dzieci, o ich zaniedbaniu, o ich wadach, o zepsuciu sięgającym tak daleko, iż uważali się nieraz przywdzić niebogą, gdy im nie miała żkąd dostać chleba powszedniego. Oddawani do terminu, po kilkakroć uciekali z niego, przywykły do próżniaczej swobody; w ulicy znajdując dla siebie ulubione pole działania, wykierowali się na typ uliczników.

Czy wiecie co to jest ulicznik warszawski? Z próbek jakie powisłe, gniazdo ulicznikostwa, wysłała w inne dzielnice miasta, znacie zapewne powierchowność ulicznika, jego łachmany, jego drwiąco-bezczelne spojrzenie i figle które z takim dowcipem płaćtać umie. Ale właściwym obyczajom, właściwemu charakterowi ulicznika przypatrzeć się można dopiero, zdybawszy go we własnym siedlisku. Wtedy przedstawia się on w swej istocie dwulicowej; wtedy jest obrazem walki dwóch kardynalnych czynników duchowych: zła i dobra, walki w której zepsucie posunięte aż do cynizmu, pasuje się z szlachetnym instynktem ludzkiej natury. Mamyż mówić po której stronie jest zwycięstwo? Trudno domyślić się iż w tych umyślach ledwo wychodzących z dzieciństwa, zepsucie, złe namiętności, pogarda pracy... wypalają na resztę życia niezatarte ślady? Serce mi się ścisnęło, ile razy w moich wędrownkach po dolnej Warszawie, spotykałem szajki tych młodych próżniaków, rozgrywających się o kilka groszy gdzieś pod płotem w karty, zaciągających się, mimo lat dziecięcych, papirosem, zaczepiających często przechodnia słowem cynicznym, lubo nie bez trafności złośliwej. Ciężka to praca naprostować te spaczne pojęcia moralne, zerżać ten brud obyczajów; niemniej jednak praca potrzebna, jeżeli bowiem jałmużna z chleba jest obowiązkiem i przynosi ulgę, o ileż dzielejszą być musi jałmużna z ducha, krzepiąca moralność, obmywająca z win i podnosząca na przyszłe życie!

Cel życzeń gorących był przedemną: ofiary zapo-

mnienia, zepsucia, miałem wyrwać z poniżenia i kału, aby je powierzyć w ręce poświęcone kształceniu ich na ludzi. Wyprawieni na poszukiwanie poczciwy sąsiad, sąsiadka i kilku wałęsających się chłopaków, nie wracali tymczasem. Po godzinnem dopięro oczekiwaniu zjawia się nareszcie z hałasem urwiszowska dwójka. Moja obecność nie zmieszła ich wcale; przypatrywali mi się bez podziwienia, z pewnym jednak rodzajem ciekawości. Chcąc od razu zyskać ich ufność i przychylność, postanowiłem podzielać środkami silny zawsze wpływ wywierającym na zgłodniałych. Wystąpiła sąsiadka po wiktuały, szybko się sprawiła, a ja tymczasem wszedłem w rozmowę z malcami. Lecz małe łotry cudownym instynktem odgadły grożące im niebezpieczeństwo. Zarzucili mi pytaniami mającymi na celu wybać moje zamiary, i wkrótce z indagującego stałem się indagowanym. Przedstawiłem im najświetniej ich przeznaczenie, użyłem wszelkiej wymowy, dla przekonania upartych malców; ale skutki tej parlamentarnej taktyki były żadne. Postanowiłem więc chwycić się groźby i oznajmiłem im że siłą zostaną zmuszeni udać się do zakładu. Rozśmieli mi się w oczy dość nieprzyzwoicie. Za groźbą powinien był nastąpić czyn,—lecz... prawnicy rozstrzygający losy ludzkie, myśliciele pragnący postępu społeczeństw, reformatorzy świata... powiódźcie mi jaki u nas istnieje środek legalny dla zmuszenia krnąbrnego malca, aby poszedł do szkoły lub zakładu? Wola rodziny—ale jeżeli rodzina nie ma dość siły i środków do przeprowadzenia swęj woli? Porwanie prywatną siłą—ależ to będzie gwałt, na który bezpieczeństwo publiczne zezwolić nie może. Skłonienie łagodnością i namową—ale i to może się nie udać.

Dopominamy się, i słusznie, o prawo, któreby zmuszało rodziców do posyłania dzieci do szkoły; ale czyż mniej potrzebne są przepisy, któreby dozwoliły władzy wykonawczej popierać działania rozmaitych zakładów dobroczynnych, jeśliby tego zachodziła potrzeba? Przepisy nakazują chwycić włóczęgów i dostawiać ich do domów zarobkowych, ale nie pozwalają złapać ulicznika i odesłać go do szkoły w tym celu urzędowej. Czy słuszną zaś jest rzeczą aby nieletnie dzieci, w połowie drogi zepsucia będące, porównywać z dorosłymi włóczęgami, poddawać je pod rygor tych samych praw, mających zwykłe na celu tylko karę, a nie poprawę, lubo ta ostatnia często jest możliwą i winna być ostatecznym celem? Domy zarobne i tak zwane kolonie dziadowskie do niczego nie prowadzą, żadnej nie przynoszą korzyści, prócz chwilowego usunięcia włóczęgów, bo ci wychodzą z nich niezmiennymi w niczym, z głęboką tylko nienawiścią dla prawa umiającego karać, ale nie poprawiać.

We wszystkich krajach europejskich zakłady dla nieletnich odłączone są od zakładów czy to karnych, czy poprawczych dla dorosłych, i poddane osobnemu systematowi tak obrachowanemu, aby z dzieci zepsutych przygotowywać pożytecznych członków społeczeństwa. Lecz potrzeba aby je, podobnie jak i inne, popierała siła wykonawcza władz; często bowiem bez tego istnieć one nie mogą. Prawda że sale szkół dla uliczników zawsze będą pełne; ale bez wdania się w razie potrzeby władz, ulicznikostwo rozwijać się będzie dalej w najlepsze, zatruwając jadem zepsucia młode dusze i chłonec tysiące niedorostków, dzieci ludu naszego.

Gdybym był w Anglii, myślałem sobie wracając po owej niefortunnej wyprawie z Tamki, pierwszy lepszy konstabl, skinieniem magicznej laseczki prawa, zachęciłby wszystkich przechodzących do niesienia im pomocy. Te krnąbrne malce, z którymi nie wiem teraz co zrobić, za parę minut znalazłby się pod rygiem nauczyciela szkoły, któryby właściwymi środkami zdołał zmieknąć i upokorzyć ich zdziżale usposobienia. Czyby zaś zdołał?... Jako odpowiedź na to pytanie przyszedł mi na myśl wyjątek z broszury p. Walerego Wielogłowskiego, p. t. *O żebractwie w Krakowie*. Wyjątek ten przytaczam, jest bowiem w ścisłym związku z rozbieżnym tu przedmiotem:

„Nieodżałowany, nieoceniony mąż, s. p. Piotr Michałowski, podniósł i wspierał zakład chłopców zaniedbanych, czyli mówiąc właściwie, uliczników. Świecy się tém zajmować począł, i ja sam w początkach byłem jednym z profesorów tej rozwiązałej zgrai. Było to bardzo pięknie, ale niepożytecznie. Trzymaliśmy tych młodych łoterków pod klauzurą, aleśmy ich przerobić, nawrócić i w duchu przenicować nie umieli. Chłopiec nauczył się czytać, ale hultajem być nie przestawał. Sukcesorowie s. p. Piotra Michałowskiego, na mądrą i chrześcijańską myśl trafwszy, sprowadzili do tego zakładu z Francji dwóch braci stowarzyszenia zakonnego św. Józefa (jednego przelotnego, a drugiego ogrodnika). Od tego czasu cud się prawie zrobił, bo przemienienie zepsutych z gruntu

chłopców, w moralnych, porządnym i pracowitych ludzi, o których się tak rolnictwo jak i handel oraz rzemieślnictwo dobijać będą. Dziś już ten zakład posiada dom własny z ogrodem, który intratę nawet przynosi. Wszędzie ład, porządek, subordynacja, kierunek moralny, praca podzielona. Chłopcy uczą się ogrodnictwa, rzemiosł, czytania, pisanja, rachunków, a teraz nawet muzyki.“

Przytoczyliśmy przykład własny, kierunkiem bowiem swoim i pomyślnym rozwojem może on zachęcić do naśladownictwa prędej, niżli wzory dalekie, którebyśmy znaleźli w krajach zachodnich. Żaden jednakże kraj nie przedstawia tak starannie urządzonej szkół i zakładów poprawczych dla dzieci i nieletnich wyrostków, jak Anglia. Nauka poczytywana jest tam za najszlachetniejszą jałmużnę, a przynajmniej stanowi nierozłączną część wsparcia dla klas ubogich przeznaczonego. Dzieci ubogich w ogóle rozdzielają się na dwie kategorie: jedne otrzymują pomoc w domu od opiekunów, mających prawo przysmusu tak względem rodziców, jak i wyrostków; drugie znajdują pomieszczenie w domach sierot, koloniach roboczych, domach zarobnych i t. p. zakładach, które przy powstawaniu obowiązane są zaprowadzać szkoły według otrzymanej instrukcji. Dzieci ujęte na przestępstwie, oddawane są do osobnych zakładów, zwanych szkołami reformującymi; dla dzieci mających skłonność do włóczęgostwa, zaprowadzono szkoły rzemiosł. Mimo to przecież znajduje się znaczna liczba dzieci przypadających na szkoły uliczników. Szkoły te są podobne do elementarnych, z wybitnie religijnym charakterem. Pierwszy ich cel naprawić i uczyłzować malca, a następnie przez wyuczenie rzemiosła, zrobić z niego człowieka sposobnego do pożytecznej pracy. W tym więc razie nauka jest rzeczą podrzędną, a wpływ moralny, religijny i zajęcie gruntem. Zakłady te pożyteczne zwróciły uwagę rządu i parlament w ciągu ostatnich swych posiedzeń wyznaczył komisyyą, dla zbadania czy nie należałoby im udzielić wsparcia rządowego, na równi ze szkołami elementarnymi. Komisyya uznała że pomoc rządową należy udzielać tylko tym szkołom, które wyłącznie zajmują się nauką, a nie dają pożywienia dzieciom, co przecież zwykle szkoły uliczników czynią. Zresztą, chociażby parlament przychylił się do wyznaczenia wsparcia dla tych szkół, towarzystwo zajmujące się nimi nie życzy sobie tego z tej przyczyny, iż pomoc rządowa pozbawiłaby całe dzieło charakteru missyjnego i oziębiliby gotowość pomocy ogółu ludu angielskiego, a to zachwałoby niezawodnie istnienie tych pożytecznych zakładów. Nie możemy i w tym razie dość uwielbiać szlachetnej drażliwości towarzystwa szkół uliczników i dość podziwiać charakteru Anglików, dążących wszędzie, na każdym kroku, do samodzielności i samoistności, jako najpełniejszego warunku rozwoju instytucji swoich.

KRÓLEWIEC.

Miasto które my Królewcem, Niemcy Königsberg nazywają, jest od samego powstania swego czysto niemieckim, od czasów zaś istnienia królestwa pruskiego drugą stolicą i miejscem koronacyjnym królów pruskich; zdawałoby się więc, że do obywatelstwa w piśmie polskiem żadnego nie posiada prawa. Miasto to przecież nietylko założonym zostało na ziemi pokrewnych nam dawnych Prusaków, nietylko dzieje jego najściślej łączą się z naszymi, lecz nadto przez czas jakiś stanowiło bezpośrednią królestwa polskiego częśćkę, później zaś, i to do niezbyt dawna jeszcze, jego lenność. Zasługuje zatem na kartę, którą mu w Tygodniku naszym poświęcamy.

Królewiec leży w odległości jednej mili od zatoki bałtyckiego morza Frische-Haff zwanęj, nad rzeką Pregolą, po niemiecku *Pregel*, w dawniej pruskiej prowincji Sambii. Założenie jego przez Krzyżaków sięga do połowy trzynastego wieku.

Skoro zakon ten, nieroztropną Konrada mazowieckiego polityką przyzwany, postawił raz silnie stopę na ziemi pruskiej, ze wszystkich okolic Niemiec rokrocznie w pomoc przeciw Prusakom i Litwie przychodzili mu liczne gromady rycerstwa, po części religijnym zapalem, po części chucią awanturniczych przygód, sławy i łupów wiedzione. W roku 1254 w liczbie takich ochotników znalazł się porwany przeważającym wówczas na Zachodzie mody prądem, król czeski Przemysł Ottokar. Biorąc udział w wyprawie przeciw Sambitom, podał on Krzyżakom myśl utwierdzenia się na jednym ze wzgórz, ponad Pregolą się wznoszących. Na nieszczęście Prusaków i Litwy, kawalerowie teutońscy usłuchali tej szkaradnej w ustach króla słowiańskiego narodu rady, i wdzięczni za nią, zamek nowowzniesiony Górą-królewską (*Königs-Berg*)

nazwali. W parę lat później, jak to zwykle w owych czasach bywało, pod osłoną warownego grodu zabudowało się u podnóża wzgórka miasto, w miejscu gdzie dzisiaj przedmieście *Steindamm* zwane, około starożytnego kościoła św. Mikołaja. Że jednak było niedość silnie umocnionem, wzięli je wkrótce Sambici, a wymordowawszy niemieckich mieszkańców, zabudowania w perzynę obrócili. Skrzętni germańscy osadnicy odbudowali je wnet nanowo, w miejscu kędy obecnie istnieje Stare-miasto (*Allstadt*). W miarę wzrostu potęgi zakonu i ustalania się bezpieczeństwa, Królewiec, jako ważne ognisko handlowe, rósł szybko w ludność i zabudowania. W końcu trzynastego wieku, oprócz Starego-miasta, istniało już Nowe, później *Löbenicht* nazwane; w 1324 zaś roku założoną została trzecia ze składających dzisiaj miasto części, po niemiecku *Kneiphoff*, przez Polaków Knipawa zwana.

W roku 1410, kiedy po zwycięskiej pod Grunwaldem bitwie i oblężeniu Malborka, całe Prusy uległy się potęgi Władysława Jagiełły, Królewiec, wraz z wszystkimi niemal innymi miastami pruskimi, poddał się naszemu królowi. Kiedy zaś r. w 1454 pięćdziesiąt sześć miast i stany pruskie, wypowiedziawszy posłuszeństwo Krzyżakom, oddały się opiece rzeszypospolitej polskiej, król Kazimierz Jagiellończyk ustanowił w Królewcu stolicę województwa. Tegoż samego jednak jeszcze roku, skoro Krzyżacy się zbliżyli, mieszkańcy starego i nowego miasta otwarli im dobrowolnie swe bramy; tylko jedna Knipawa wierną królowi pozostała, opierając się przez czas długi, aż wreszcie, nie mogąc się doczekać posiłków, poddać się musiała.

W roku 1466, gdy Prusy ostatecznie przystąpiły do związku z rzeszypospolitą, Królewiec z obwodem,

jako lenność Polski, pozostawionym został zakonowi krzyżackiemu, który z Malborka tutaj się przenieść był zmuszonym. W r. 1520 wielki mistrz Albrecht odmawiał złożenia hołdu królowi Zygmuntovi I; wojska więc polskie, pod dowództwem Mikołaja Firleja, podstępnie, pobiwszy Krzyżaków, pod Królewiec; zawarta przeciw umowa uwolniła miasto od oblężenia i szturm. Roku 1525 tenże mistrz Albrecht, odrzuciwszy zarazem wiarę i śluby zakonne, przeszedł na wyznanie ewangelickie i stał się pierwszym dziedzicznym

i Prus, począwszy od 1225 roku, a tém samém mieszczące w sobie nieocenione do dziejów naczynych skarby.

Katedra, na Knipawie przez wielkiego mistrza Lotara księcia brunszwickiego w 1332 r. wystawiona, wysoką na 180 z górą stóp wieżą i słynnemi organami ozdobiona, mieści w sobie groby sześciu ostatnich wielkich mistrzów krzyżackich i książąt pruskich.

Królewiec liczy obecnie do 80,000 mieszkańców.



WIDOK KRÓLEWCA OD STRONY PREGOLI (PREGLA). (Rysował z litografii Polkowski).

W klasie wyrobniczej i służebniczej znajduje się znaczna liczba Polaków, z pomiędzy pruskich Mazurów, tudzież Litwinów, których język o kilka mil na wschód od miasta staje się panującym. Wlecie szczególniej mnogość orylów i flisów z obu tych narodowości, na wiciach Pregoli przybyłych, rozwesela ulice pieśniami swemi i wygrywaniem nanie odstępnych skrzypkach.

Uniwersytet albertyński, którego założenia datę powyżej przytoczyliśmy, a któremu król nasz Zygmunt August w dniu 8 maja 1560 r. nadał przywilej co do praw z akademią krakowską go równający, w kwitnym zostaje stanie, jakkolwiek liczba uczących się, która niegdyś do tysiąca dochodziła, dziś do kilkuset zeszczupłała. Na uniwersytecie ten uczęszcza zwy-

kle kilkunastu Polaków, jak również Litwinów, między którymi często znajdują się synowie zamożniejszych włościan.

Z powodu sąsiedztwa blizkiego z Litwą, Królewiec, w nowszych osobliwie czasach, stał się w części ogniskiem prac około języka i literatury tego plemienia, które my, pomimo tak ścisłych węzłów, zupełnie zaniedbujemy. Szczególnie w tym kierunku odznaczył się Vogt-Rhesa, który oprócz naukowych dzieł o języku litewskim, wydał wcale udane przekłady pieśni gminnych (*Dainos*) i pięknego poematu Donalaj-tysa o czterech porach roku, którego że dotąd i my nie posiadamy w polskiem tłumaczeniu, prawdziwie grzechem jest i wstydem.

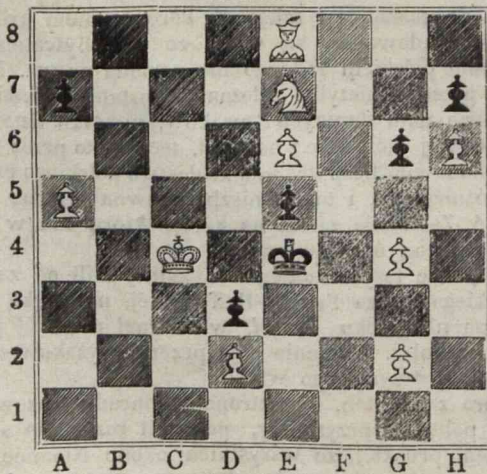
SZACHY.

ZADANIE XCIV.

(S. M. z Płońska).

Białe zaczynają i dają mata za czwartem posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 93.

Białe.

Czarne.

- 1) B 6 — D 6 biorą C 7 — D 6 biorą.
- 2) B 5 — D 7 E 6 — D 7 biorą.
- 3) E 7 — D 5 Jakkolwiek.
- 4) C 3 — B 4 † D 2 — D 4.
- 5) D 5 — C 3 † i mat.

Gdyby czarne w drugim posunięciu nie były lauffra, lecz poszły E 6 — F 5, to białe D 7 — F 5 biorą, i partya kończy się jak wyżej; co będzie miało miejsce i wtedy, gdy czarne poruszą się inną figurą.

władczą Prus księżęcych (dla odróżnienia od reszty, bezpośrednio koronie polskiej ulegającej, czyli królewskich Prus, tak nazwanych), które mu, jako krewnemu, nieprzebaczona słabość króla naszego w lenność oddała. Był to czas najświetniejszy dla Królewca, który będąc stolicą księstwa, przyozdobił się i wzbogacił gmachami i instytucjami publicznymi, w których liczbie znakomitsze miejsce zajmuje dotąd istniejący uniwersytet, w 1544 roku założony przez księcia Alberta, i ztąd nazwę *Collegium Albertinum*, lub *Universitas Albertina* noszący.

Po przejściu, drogą spadkową, w 1619 r. księstwa pruskiego na familię margrabiów brandenburgskich, siedlisko władz przeniesione zostało do Berlina. Królewiec przeciw zachował zawsze stolicy tytuł i powagę; a kiedy traktatem welawskim w r. 1657 uwolniony od hołdownictwa Polsce margrabia, w 1701 r. przybrał królewski tytuł, w Królewcu uroczystość koronacyjną odprawił. Odtąd, jak już wspomnieliśmy, wszyscy pruscy panujący tutaj się koronowali i odbierali w monarszym charakterze hołdy swych poddanych.

Obecnie Królewiec zajmuje przestrzeń do dwóch mil obwodu wynoszącą; w obwodzie tym wszakże mieści się wiele ogrodów, pustych placów, ogromny staw zamkowy, a nawet kawały pól uprawnych. Z wyjątkiem niewielu, po ostatnim w 1811 r. wielkim pożarze odbudowanych ulic, w ogólności miasto całe dość źle zabudowane, tak ze względu ulic nieregularności, jakoteż i powierzchowności domostw. W Starém mieście przeciw i we wzniesionej na wyspie wśród rzeki Knipawie, oglądać można wiele pojedynczych, ze względu starożytnego charakteru interesujących budowli.

Głównie na uwagę zasługującymi pomnikami Królewca są: zamek, kościół katedralny i uniwersytet. Pierwotny zamek, w trzynastym wieku wzniesiony, zniszczonym został przez mieszczan, gdy w piętnastym władzę Krzyżaków z siebie zrzucili. W r. 1564 książę pruski odbudował go nanowo, wiele warownie i ozdobnie, następnie zaś różnemi czasy rozmaicie przebudowywanym i restaurowanym bywał. Jest to obszerny gmach czworoboczny, liczący do 180 pokoi, z dziedzińcem w pośrodku. Pod nim mieszczą się sklepione piwnice, gdzie niegdyś ponura sprawiedliwość teutońska odbywała sądy, wzięła, brała na tortury i karała śmiercią skazywanych. Najważniejszą przeciw w całym zamku rzeczą są archiwa, zawierające wszystkie akta publiczne zakonu krzyżackiego

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 120.

Jest racya, ale to nie kompozytora wina, tylko malarza.

(Dodatek).

DUMKA JESIENNA.

Suchy liść szeleści,
Miećąc się po ziemi,
Dmą jesienne wieści
Poświsty dzikimi.

Na świecie coś sennie,
Coś sennie i mgławo,
I w duszy jesienne,
I w zrenicy łzawo.

Z tych szumów jesiennych,
Niby śpiew na grobie,
I z tumanów sennych
Dumkę zwiję sobie.

Dni promienne zmierzchły,
Oniemiały gaje,
Bo śpiewaki pierzchły
Gdzieś w cieplejsze kraje.

Gdzieś w kraje cieplejsze,
Gdzie barwy jaskrawsze,
I gaje wonniejsze,
I niebo łaskawsze.

Złotowłosym plonem
Nie śmieją się pola,
Obnażonem łonem
Czernieje się rola.

Czarnym korowodem
Ciągna z lasów wrony,
Zawodząc nad grodem
Śpiew swój potępiony.

Jeno wróbel szary,
Wierny druch domowy,
Płasa pełen wiary,
Ubogi a zdrowy.

I swobodnie nuci
Na słomianym szczycie:
Wróci wiosna, wróci,
Z wiosną młode życie!

Ta jesień ze mgłami,
Ze swą nocą ciemną,
Z wichrów swych śpiewami
Dziwnie mi wzajemną.

Piosenki młodości
Jak ptaszęta pierzchły,
Wiosenne radości
Poblady i zmierzchły.

Chmurne myśli krążą,
Niby stada wronie,
Oстрым wieńcem wiążą
Przepsalone skronie.

Jak mgła się rozwiała
Szczęścia słodka mara,
Jeno mi została
Drużka—dumka szara,

Z rodzoną tęsknicą,
Co skrycie ssie łono,
Z dumką samotnicą,
W mgłę jesienną chrzczoną.

Na mogile siadę,
Pogwarzę z mogiłą,
Dumać sobie będę
Co będzie, co było!

Tadeusz K.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z powiatu poniewieżskiego.

Wszystko co się tyczy braci naszych z nad Wisły, obudza w nas żywe zajęcie i współczucie. Wiedzioną przekonaniem, że i nam się od nich cokolwiek wzajemności należy, postanowiłam z cichego ustronia litewskiej ziemi zgłosić się do was, dając wam choć słaby rys charakteru i oświaty ludu części powiatu naszego.

Powiat poniewieżski, jak w ogóle Żmujdz ca'a, po-

(Dodatek do Nru 121 Tyg. Ilustr.)

siada ziemię urodzajną; byt zatem włościan jest po większej części bardzo zadowolający. Znajduje się wprawdzie i u nas niemała liczba żebraków; lecz stan ten tyle upokarzający przeszedł u nich w przymysł: żebrza nie z potrzeby, tylko z hultajstwa, i gdyby więcej zajmowano się niemi, zapewne i kilku nie znalazłoby się prawdziwie nieszczęśliwych. Często znajdują się pomiędzy niemi kapitaliści, a nierzadko i zbrodniarze. W Kurlandyi, gdzie moralność ludu wyżej jest posunięta i rażącej nędzy dopatrzeć się nie łatwo, żebrak nasz jest widowiskiem, bieżną podziwiać, jak go nazywają, *den polnischen Bettler*. Mieszkańcy nasi, na nieszczęście, niewiele temu poradzic mogą; a wiele, bardzo wiele znalazłoby się u nas do poprawienia. Włościanie w ogólności czują potrzebę oświaty i dokładają w tym celu wszelkich starań: możniejsi utrzymują nauczycieli (przez nich dyrektorami zwanych); inni posyłają dzieci do szkółek elementarnych rządowych, lecz liczba tych jest bardzo mała.

Zdolni nie kończą na gimnazyum, idą na uniwersytet, do agronomicznej szkoły, lub najczęściej do akademii duchownej. Ta ostatnia dostarcza nam bardzo zacnych księży, wielce różniących się od tych, co zawód swój w seminaryum kończą. Charakter włościan jest trochę niedowierzający, w ogólności jednak poczciwy, pobożny; duchowieństwo ma nad niemi nieograniczoną władzę, gdyby przeto chcieli się więcej poświęcić dla młodszej braci, lud nasz pod każdym względem stanąłby wysoko... Narodowość i język swój (litewski) bardzo cenią. Jako przykład przytoczę tu fakt, którego byłam naocznym świadkiem.

Skarbowy włościanin Brzeziński, człowiek bardzo do rzeczy, był w szkołach za młodu i pełnił później obowiązek starszyny przez lat 12. Pracowity, trzeźwy, oszczędny, dorobił się znacznej fortuny, bo przed kilką laty sam się przyznawał do 15,000 rs., a dziś mu liczą przeszło 20,000; dla włościanina stanowi to znaczny kapitał. Synów dwóch wychował w powiatowym gimnazyum, po skończeniu którego jeden kształcił się na księdza w duchownej akademii w Petersburgu, drugi na geometrę tamże; obecnie obaj ukończyli swój zawód: geometra bierze przeszło 1,000 rubli wynagrodzenia od obywateli. Przed dwoma laty wspomniany Brzeziński wydawał córkę za mąż za bogatego, trudniącego się kupiectwem włościanina Likasa (dziś Likiewicza). Przypadek zrzucił żem poznała całą tę rodzinę. Jadąc do powiatowego miasta, mijając wieś Tołkiany, postrzegłam przed domem byłego starszyny kilka sań pokrytych ładnymi dywanami, zaprzężonych *à longue guide*, woźnice w futrach z krymskich baranków, powleczone cienkim sukniem. Sądziłam że jakiś wypadek lub interes zatrzymał tu kilku obywateli, gdy wtém całe grono weselne wyszło z domu i zatrzymało mój powóz, prosząc bym wysiadła i pobłogosławiła nowożeńców. Długo z prawdziwą przyjemnością patrzyłam za odjeżdżającymi; podobała mi się najbardziej prostota obok zamożności; gdyż państwo młodzi, jak i całe towarzystwo, zachowali strój narodowy, a chociaż wszystkim był nie obcy polski język, którym szczególnie ojciec i synowie doskonale władali, jednak w rodzinnym swém kółku nie mówili inaczej jak po litewsku.

Szczególną słabość mają włościanie naszych prowincyj do spolszczenia swych nazwisk; skoro cokolwiek zaczerpną oświaty, już w gimnazyum zmieniają swe nazwiska, dokładając końcówkę *ski, wicz*, albo zupełnie je przerabiając na polski język. I tak: wzmiankowany Brzeziński nazywał się Berzes (Brzoza), Łysogórski Ausztykalnis, Micewicz Miczudas, (dziś jest doktorem powiatowym w Telszach na Żmujdzi), Wodopolski Wodapałas, Wróblewski Zwirbles, Markiewicz Markowenes i wiele innych. Mimo przybierania nazwy szlacheckiej, włościanie w gruncie serca nie sprzyjają szlachcie; sami będąc w najwyższym stopniu materialni, nie pojmują szczęścia nad pieniądze, a dobrego bytu nad liczny inwentarz... Radzi gdy mogą czémkolwiek dokuczyć szlachcie, pyszną się swoją zamożnością, nie opuszczając najmniejszej zręczności, w której mogą rublem zaimponować szlachcicowi. Raz w zajezdnej karczynie przejeżdżający szlachcic gościł pragnienie piwem; weszło kilku włościan, a postrzegłszy gościa, spojrzeli nań z góry i rzekli z ironią: „Cóż bracie szlachcicu (bojorus), nie stać ci widno na coś lepszego; ciesz się więc szlachectwem, a ty, panie arendarzu, daj parę butelek szampana.“ Podobne zdarzenia są u nas częste. Dziś w naszych stronach włościanie wyłącznie prawie podtrzymują zakłady winne; po zaprowadzeniu wstrzeźmiwości wódki nie piją wprawdzie, lecz z Rygi sprowadzają ankarami wino i rum, tak iż księża zmuszeni byli z kazalnicy zabronić używania tego ostatniego. Teraz biędacy pocieszają się spirytusowem winem.

Byli obywatelscy włościanie nie są tak zamożni jak skarbowi, jednak byt ich o wiele lepszy od biednej szlachty zagrodowej, której stan jest rzeczywistoście oplakany; bez opieki i oświaty, oddana zupełnie rolnictwu, po większej części nędzne pędzi życie. Charakter tych zagonowców przechował się najzupełniej patryarchalnie; są moralni, wytrwali, poświęcający się, gotowi do ofiar... dla przyjaźni wylani, serdeczni. Przeszłość poetycznie odbija się w pocziwych tych sercach. Żyją wspomnieniem dawno ubiegłych lat, przywodząc je sobie na pamięć. Z drugiej strony charakter ich przybiera często i inną postać: bywają nieugięci, uparci, processujący się aż do utraty mienia. Wykształceni, byłiby bezwzruszenia chluba narodu... X.

PISARZE POLSCY.

(Z KSIĘGI MOICH WSPOMNIEN.)

I.

Stanisław Doliwa Starzyński.

Czterdzieści lat niemal upłynęło, jak po raz pierwszy zjawily się w stolicy królestwa piosnki Podolanina, nieznanego z nazwiska, które obok ulubionych wówczas, jak:

„Czyli pamiętasz, mówił do żołnierza,
albo Kropińskiego:

„Te brzoź kilka, ten bieg wody,
Jak mi wiele przypomina,“ —

znalazły miłe przyjęcie i zabrzmiały po wszystkich nie magnackich, ale obywatelskich domach. W tamtych pieśni francuzkie i arye włoskie rej wiodły, dla polskich nie było miejsca w bogatym salonie, czy w strojnym buduarze damy.

Melodya do nich łatwa, upowszechniła je prędko, a treść, jakkolwiek prosta, kryła w sobie myśl głębszą, budzącą poważną zadumę. Wiersz w nich składowy, potoczny, dobrze się naginający do muzyki, język czysty i daleki od zwrotów cudzoziemskich. Pragniono powszechnie poznać ich autora; jakoż niezadługo przekonano się, że jest nim Stanisław Starzyński, obywatel podolski.

Żadna z tych pieśni nie była drukowaną, wszystkie obiegały w rękopiśmie; dopiero w lat prawie dziesięć od pierwszego pojawienia się szczupły ich zbiorek wyszedł p. n. „*Śpiewki i wiersze Podolanina*,“ Warszawa 1830 roku (w drukarni stereotypowej.) W zbiorze tym znajdujemy upowszechnione wówczas piosnki, jak: *Kowal, Maj, Słowik, Banialuka, Obaczmy, Do zobaczyska, Zostawcie mnie w mojej chatce, Paciorek, Krakowiak* i sławną pieśń humorystyczną *Diabeł nieboszczyk*, której strofa każda kończy się dwuwierszem:

Sic est, sic est, ita, ita,
Zabił diabła jezuita.

Parę z nich przeszło w usta całego narodu, a wszystkie znane były dobrze w kraju po 1830 r. Jeszcze Starzyński długo się ukrywał pod imieniem *Stacha z Zamiechowa*, przybranem od własności dziedzicznej, którą miał po ojcu. W jednej ze swych piosnek tak się sam maluje:

„Znacież, ludzie młodzi,
Stacha z Zamiechowa?”

A którego śpiewki,
W powszednie i święta,
Nocą polskie dziewczki
I polskie chłopięta?
Miła mu, jak sława,
Jest pieśń narodowa,
To pierwsza zabawa
Stacha z Zamiechowa.
Nie szkockie ballady,
Nie walce tyrolskie,
Lecz rad u biesiady
Noci śpiewki polskie.
Ma Francuz menuety,
Ma Hiszpan bolery,
Ma Włoch kanconety,
Ma Niemiec sztajery.
Trudne są to trele,
Lecz piesń Krakowiaka
Wnet budzi wesele
I cieszy Polaka.
Żyjcież polskie dziewczki!
Z wami polska mowa:

Oto jest treść śpiewki
Stacha z Zamiechowa.“

Szeroko brzmiała jego pieśń p. n. Kowal, bogata
treścią i myślą. Przywiedziemy tu z niej parę strofok.

„Rzeko, żwawo, stuku, puku!“
Tak do pracy kowal wzywa,
I przy głośnym młota huku
Stary ojciec pieśń tę śpiewa:
„Kierujcie się jak możecie,
Ale pamiętajcie o tém,
Ze człek każdy na tym świecie
Jest kowadłem albo młotem.

Stuku, puku!
Stuku, puku!

Blyszczy stal w ogniu — oczęta
Lubéj miléj blyszczą jeszcze:
Lecz biada, kogo ponęta
W zléj niewiasty poda kleszcze.
Dzieci, wierźcie kowalowi,
Diabeł wicherzy takim stadłem,
Gdzie naprzekór rozumowi,
Zona młotem, mąż kowadłem.

Stuku, puku!
Stuku, puku!

Jak bez ognia nasze miechy
Węgla w kuźni nie rozżarzą,
Tak bez cnót niéma pociechy,
Bo swobodą cnoty darzą.
Rzeko, żwawo, stuku, puku!
Dzieci, do zmroku wytrwajcie,
I przy głośnym młota huku
Wraz z starym ojcem śpiewajcie.“

Znane oddawna jest przysłowie w naszym naro-
dzie, *pleść banialuki*, któremu powód dał lichy ro-
mans z XVII wieku. Starzyński bierze z niego wątek
do swéj piosnki p. n. *Banialuka*.

„*Banialuka!* mój dziadunio
Ciągłe w ustach miał to słowo,
Czy się bawił z mą babunią,
Czy się nudził książką nową,
Czy gazetę polską czytał,
Czy swego łajał hajduka,
Nawet czy się o co pytał,
Wprzód rzec musiał: *banialuka!*
Młódź narowy chwytając rada,
A nałóg naturą zowiem,
To przysłowie mego dziada
Stało się wnet móm przysłowiem.
Kto znał starca, kto z nim bawił,
Za jego mnie uzna wnuka;
Dziadku! tyś mi skarb zostawił
W tém przysłowiu: *banialuka*.
Ileż mi głupstw i kłopotów
Ten wyraz zamłodu szczydził,
Gdym do grzechu zawsze gotów,
Za roskoszą klusem pędził.
On, w miejsce aniola-stróża,
Strzegąc od szwanku nieuka,
Wykrył że ma ciernie róza,
I że miłość *banialuka!*
Później, sądząc że mozołem
Przyrodzenia tajnie przedrę,
Mądrość chciałem mieć żywołem,
Przybytkiem mędrców katedrę.
Grube czaszki, które zdobia
I tonsura i peruka,
Brednie wasze nie przerobia,
Ze i mądrość *banialuka*.
Patrz na męża który z tronu
Stracon na ostrów bezładny,
I męczennik Albionu,
Kląt swych wrogów czyn obładny;
Ci co się nim spanoszyli,
Poszli w ślady Mameluka,
A on, w ciężkiej skonu chwili,
Rzekł: „i wierność *banialuka*.“

Starzyński Stanisław, był synem Erazma majora
kawalerji narodowej, który z obszernych włości syn-
nowi zostawił tylko Zamiechów i Żabińce. Zamiechów,
miasteczko liche, zamieszkałe prawie przez samych
Żydów, słynęło pięknym położeniem, nad skalistym
jarem. Domki rozrzucone aż na dół ku rzeczce, do
której wpadają z szumem liczne źródła. Na rynku
nasz poeta wystawił piękny kościółek; nad podwoja-
mi jego Franciszek Kowalski, tłumacz Moliera, po-
łożył napis:

„*Immortali mortalis*.“

Stromy, skalisty i głęboki parów oddziela miastecz-
ko od dworu i ogrodów dworskich. Dom porządny

o pięttrze, pod blachą, był mieszkaniem naszego pie-
śniarza.

Kowalski szeroko w swoich *Wspomnieniach* (*) opi-
suje pobyt w domu Stanisława Starzyńskiego. Ustęp
ten podajemy, jako dobrze go malująy.

Kowalski mieszkał w domku oddzielnym, w obszer-
nym ogrodzie.

„Starzyński (pisze) odwiedzał mnie prawie co rana,
i zawsze mnie przy stoliku zastawał; czytałem mu
com napisał i on mi czytał swe utwory. Jeżeli sam
u mnie nie był, to przysyłał do mnie człowieka z za-
pytaniem, wielem tego rana wiérzy napisał? Raz od-
powiedziałem że tylko cztery; po chwili przysłał mi
cztery wyborne jabłka. Ja, widząc że jabłka i inne
ogrodowe łakocie są rymów zaplata, na każde podob-
ne poselstwo odpowiadałem podwójną lub potrójną
liczbą wiérzy, i tyleż miałem doskonałych jabłek,
gruszek, winogron i t. p. Sam nie miałem mu czém
zapłacić jego przeslicznych piosnek, w których był
on niezrównany. Z Beranżera też kilka wybornie prze-
łożył. W papierach swych nadto był niedbały i nie-
porządny. Pisał zawsze rankami na drobnych świst-
kach, które leżały rozrzucone po wszystkich kątach;
często chwytając jakąś elegię albo piosnkę i fajkę nią
zapalał. Takim sposobem nie słyszelibyśmy o żadnej
jego piosnce, o żadnym poetycznym utworze, gdyby
nie Julian Sabiński z Bednarowki, blizki jego krewny,
pelen zdolności młodzieniec, wychowaniec Rajmunda
Korsaka, którego poezye własną ręką starannie we
dwóch tomach przepisał i przygotował do druku. On
do Zamiechowa często przyjeżdżał, bawił po kilka
tygodni i wszystkie porozrzucone Starzyńskiego świst-
ki starannie zbierał, porządkował i pięknie przepisy-
wał. Tak kilka zeszytów pieśni i ulotnych poezyj
sam schował w jego tekę. On też do tych pieśni do-
rabiał muzykę, a byłoby ich parę tomów.

„Raz byliśmy w Boguszówce u Dunajewskich, o ma-
łą milkę od Zamiechowa, a tam zawsze wesola zaba-
wa, bo ją ożywiało kilka ładnych panien. Tańce trwa-
ły do późna; w przerwie mazura, jedna śliczna pa-
nienka przyszła do siedzącego Starzyńskiego i zapy-
tała go czemu nie tańcuje?

— Ze wstydem pani wyznać muszę, odpowiedział,
że nie umiem, choć się onego czasu uczyłem.

— Wielka szkoda! odrzekła panna, miałbyś pan
we mnie niezmordowaną tancerkę. Ale że pan nie
tańcuje, to nam powinien jakąś śliczną zaśpiewać pio-
senkę.

— Prosimy! prosimy! zawołało całe grono.

Starzyński, patrząc w oczy ładnej panienczce, za-
śpiewał natychmiast zaimprovizowanego mazura:

„Układ ze mną zrób dziweczeko,
Z oczywistym swoim zyskiem:
Dam ci piosnkę za piosneczką,
Ty mi uścisk za uściskiem.
Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe widzisz zyski,
Ty mi piosnek nie oddawaj,
Ja ci oddam twe uściski.“

Oklaski zagłuszyły muzykę, która nowego zaczyna-
ła grać mazura.

Scena opisana przez Kowalskiego była w r. 1823,
kiedy Starzyński liczył już lat około czterdziestu wie-
ku. Przyjaciele radzili mu ażeby się ożenił; on jedne-
mu, co mocniej o to nalegał, odpisał:

„Niech się żeni kto bogaty,
I bogatym zostać łaknie;
Niech się żeni komu chaty
Lub kawalka chleba braknie;
Ja, któremu los w podziale
Dał być mierny, który cenię,
Brnąc przez życia mego fale,
Pewno że się nie ożenię.“

W kościele zamiechowskim, który fundował, wy-
stawił dla ojca swego wspaniały pomnik. Bawiąc we
Florencji, zamówił go u rzeźbiarza Fontanny, ucznia
Kanowy. Wierzchołek tego pomnika, fantastycznymi
ozdobiony arabeskami, przenosi wysokość kazalnicy.
Trzy sztuki płaskie, marmurowe, składają całość; naj-
wyższa, mała, stanowi szczyt; na średniej, największej
stoi w wypukło-rzeźbie, do połowy ciała wydany anioł
śmierci, nagi, ze smutną, cudną pięknoscią spuszczoną
twarzą. W prawej ręce trzyma przewróconą og-
niem w dół gasnącą pochodnię życia, a lewą
wspiera się na owalnym obrazie, przedstawiającym
popiersie zmarłego. Twarz aniola była podobną zu-
pełnie do oblicza pięknej Delfiny Komarówny, którą
później zaślubił Mieczysław Potocki z Tulczyna. Bliz-

cy przyjaciele Starzyńskiego mówili, że dokładną mi-
niaturę jęj zawiózł do Florencji, jako wzór do głowy.
Podobieństwo było tak uderzające, że starzy Komaro-
wie przyjeżdżali do Zamiechowa z dziećmi swemi,
umyślnie dla porównania oblicza córki Delfiny, ze
smutnym aniołem śmierci. (**)

Niewiadomy był powód, dlaczego nagle i bez po-
trzeby sprzedał Zamiechów i kupił sobie daleko mniej-
szy majątek nad Zbruczem. Nie śmieli go pytać o po-
wód bliżsi przyjaciele; ale za to własny jego chło-
pek dał mu dobrą nauczkę. Doniesiono Starzyńskie-
mu, że jeden z jego nowych poddanych, hulając na
jarmarku, sprzedał parę wielkich wołów, a kupił so-
bie dwa małe byczki. Rozgniewany nasz poeta, za-
czął go łajać za takie marnotrawstwo. Łajany kniec,
wysłuchawszy co mówił, rzekł kłaniając mu się nisko:
„Ja tak zrobiłem jak pan wielmożny, co sprzedał Za-
miechów, a kupił sobie kiepską częstkę nad Zbru-
czem.“ Starzyński zamilkł, bo nie miał co odpowie-
dzieć na tak szczerą prawdę.

Żył w ścisłych stosunkach przyjaźni z Tymonem
Zaborowskim, autorem *Dum podolskich* i bohaterskie-
go poematu z czasów Bolesława Chrobrego, któremu
sam nie dał żadnego tytułu, a przyjaciele ochrzcili
go nazwą *Boleslaidy*. Kilka z niego pięknych ustę-
pów ogłosił *Ćwiczenia naukowe*. Zaborowski mie-
szkał w galicyjskim Podolu, niedaleko Zbrucza, a Sta-
rzyński wielkim był wielbicielem jego talentu. Jakoż
w istocie utwory Zaborowskiego tchnęły jakąś świe-
żością, niezwykłym wdziękiem i prostotą zwiastującą
już przelom w wyobrazeniach literackich. Śmiały po-
lot jego natchnienia, gniotły jeszcze stare formy klas-
ycyzmu; ale znać było że się z nich wylamać usi-
łuje, jak młode orle ze słabej klatki do polotu w chmu-
rach.

W młodym wieku zakończył życie samobójstwem:
w przystępie rozpaczki, rzucił się w nurty Zbrucza i
w nich zgon znalazł. Mówią że nieszczęśliwa miłość
była tego powodem. W obejściu miły i przyjemny,
cudnie czytał, bo miał głos szczególnie melodyjny, tak
do deklamacyi, jak do wdzięcznego śpiewu.

Gdy Starzyńskiego zachwyciły pierwsze utwory
Mickiewicza, gdy w nim uznawał najpotężniejszy
geniusz poetyczny i sam zaprzysięgał sobie, że już po-
nim pisać nie będzie, w uniesieniu przyjacielskiem
raczej, niż z wytrawnego sądu, Zaborowskiego stawił
obok niego, jak widzimy w piosnce p. n. *Paciorek*,
z której podamy mały ustęp:

„Gdy mnie fanatyzm oskarża,
Dowiodę szkodnej obnowie,
Ze choć nie znam brewiarza,
Codzień jednak pacierz mówię.
Tak jest, codzień, w wieczór, z rana,
Wznosząc strzeliste westchnienie,
Wołam do zastępów Pana:
„*Nie wódz nas na pokuszenie*.“
Nad wszelakie nasze modły
Cenię ten pacierz niedługi.
Nieraz, patrząc jak łotr podły
Z obcej korzysta zasługi,
Jak łatwo dźwięk złota może
Zagłuszyć trwożne sumienie,
Powtarzam wnet: „Panie Boże!
Nie wódz nas na pokuszenie.“
Mickiewicz i Zaborowski,
Parnasu Polski orlecia,
Mogą, żywiąc zapal boski,
Śpiewać wino i dziewczęta,
Jak w bajeczce stary czyżyk,
Gdy mnie młodych wabi pienie,
Mówię, czwarty licząc krzyżyk:
„*Nie wódz nas na pokuszenie*.“
Pan Piotr, mój rówieśnik w latach,
Nad wszystko bezzienność cenił,
Jak motyl latał po kwiatach,
P ekłem życia hymen mienił.
Tonący chwytając brzytwę,
Dziś Piotr chwali ożenienie;
Ja się trzymam mej modlitwy:
„*Nie wódz nas na pokuszenie*.“

W późniejszym przecież czasie już nie śmiał tego
porównania robić, i samego wyłącznie wielbił Mic-
kiewicza, czego mamy dowód w piosnce p. n. *Oba-
czymy*. Oto cztery z niej pierwsze strofki:

„Co przeszło, już się nie wróci,
Co dziś widzimy, także minie;
Ten szalony, kto się smuci,
Lub naprzekór fali płynie,
Nikt przyszłości nie odgadnie,
Proś go, błagaj, wyrok niemy:

(*) Wspomnienia, pamiętnik Franciszka Kowalskiego Ki-
jów 1859. T. 2.

(**) Kowalski, Wspomnienia.

Każdy ślepo stawkę kładnie,
A kto wygra? obaczemy!
Ta przyszłość którą człek goni,
Gdy przybędzie—czém się stanie?
Obecnością — i odsłoni
Czeze nasze za nią wzdychanie.
Jest to widowisko stare,
Wszyscy je na pamięć wiemy,
I ziewając jak za karę,
Patrzmy, mówiąc: — obaczemy!
„Odkryj mi swoje serduszko,
Zrób mnie najszczęśliwszym z ludzi!”
„Zobaczmy, moja duszko,”
Tém mnie słowem Zosia ludzi.
Tém słowem kończy polityk,
Kiedy mu wierzyć nie chcemy;
Niém grozi mi więszów krytyk,
I ja mówię: — obaczemy!
Obaczemy kto swe skronie
W niezwydły odzieje wieniec,
I w rodaków zbudzi łonie
Zapał, którym tchnie młodzieniec.
Któż? ja? ty? Oh! nie, lecz Adam,
Prym mu wszyscy przyznajemy,
Ja w tój śpiewce cześć mu składam,
Przyjmiesz on ją? Obaczemy!

We wszystkich pieśniach Starzyńskiego wybija silnie uczucie szlachetne, obywatelskie. Struna ta dźwięczy w najmniejszej jego piosence i wydatnie pokazuje powód jego głębokiej tęsknoty i smutku, które wcześniej zorały mu gładkie czoło i przypuszczały siwizną.

Zwidził Włochy, Francją, a zawsze miał oczy i serce zwrócone do swęj ziemi. W zagrodzie własnej wylewał to uczucie w piosnkach lekkich, niby wesółych, a zawsze rzewnych, biorąc treść z pierwszego przedmiotu co zwrócił jego uwagę, z jednego słowa co go mocniej uderzyło. W każdej widać poetę, który pragnął pobudzić w sobie radość, pocieszać przyjaciół, ale nie umiał ukryć dźwięku owęj srebrnej struny, co zawsze na jedną nutę przypominała powód jego troski.

W większym utworze p. n. *Jesień wieszczą*, w r. 1827 napisanym, najlepiej się sam maluje. Podajemy go tu prawie w całości.

„Skroń moje już szrony białą,
Dni mych jesień przyszła wcześniej,
Troski rychłą zimę ścielą,
Dni szczęścia nikną jak we śnie.
Przeżyłem już, o nie lata,
Nie dni licze mego wieku!
Chwila, co drugim przelata
Jak błyskawicy migwienie,
Dłużej w mękach cięży człeka,
Niż nocy bezsennęj cienie.
Czasem chyżym grom udarem, (***)
Jak grot co w powietrzu świszozę,
Zajmie stary dąb pożarem.
Spłonął gwałtownie, lecz zgłiszczę
Żywią długo zar tajony,
W zimnem już napozór próchnie,
Lada wiatrem poruszony,
Pień ten znów pożarem buchnie.
Przeżyłem więc ciąg dni krótki,
Jeśli szczęsne chwile liczę;
Zbyt długi, gdy na me smutki,
Gdy wspomnę na me gorczyce!
We łzach, o śpiewy żaloszne!
Ujrzałyście życia zorze.

Tak cierpi meą meznosną,
Gdy ją nurek żywcem porze,
Muszla dobytą z wód łona.
Perłę w niej chciwiec znajduje,
A rad zdobyczy, nie czuje
Cierpień, w których muszla kona.
A ten wodorzut wspaniały,
Co w obłoki z szumem tryska
I zdrobnionemi kryształą
Jak dęszczem klejnotów błyska,
Ciosowęj wiezień sadzawki,
Tylu wdzięcznych zjawisk sprawca,
Rosząc kwiaty, żywiąc trawki,
Ten zieloności rozdawca,
Ten strumyk w źródle ujęty,
Czy sądzicie że ochoczy
Rzucił braci swych nurt kręty,
By tu wasze ludził oczy?
Rodzinny jego szmer zginał;

(***) Udarem, prowincjonalizm, zamiast uderzeniem.

Ach! radby jak niegdyś w lasku,
Gdy pod kwiatów cieniem płynął,
Zrzec się zmuszonego blasku.
Tak też i wieszcz szczęsny póty,
Póki wrzące w nim płomienie,
Jak ścieśnionęj wody rzuty,
Nie wytrysną w głośnie pienie.
Póki jak muszla skrwawiona,
Gdy drogim darzy klejnotem,
Skarbu nie wydrą mu z łona
Przeszytego srogim grotem;
Lub póki, jak ten dąb stary,
Na którego piorun strzelił,
Sam płonąc wrzącemi żary,
Puszczę blaskiem nie obdzielił.

Kiedy objął redakcyą, po Mochnackim i Podczaszynskim, *Dziennika Warszawskiego* Jan Kaźmirz Ordyniec, Starzyński udzielił mu ułamki z przekładu swego tragedyi Müllnera: *Przewinienie (die Schuld)* i obszerniejsze ustępy z naśladowanego dramatu *Grillparzera p. n. Matka rodu Dobratyńskich*, który całkowicie przesłał w roku 1822 do teatru narodowego. (***)

Ludwik Osiniński, ówczesny dyrektor, przyjął go na scenę i głównejsze role rozdał pierwszym ówczesnym artystom. Starego hrabiego na Dobratyniu grał Szymanowski, Klarę córkę jego Ledóchowska, Jaromira Werowski, Bolesława Anczyce.

Przedstawienie ściągnęło tłumy widzów i głębokie wywarło wrażenie na młodém wówczas pokoleniu. Gra pełna zapału i energii Werowskiego, przyłożyła się głównie do tego. Wszystkich uderzyła niezwykła miara ósmiozłogowego wiersza, który jednakże goręcej mógł oddać uczucia miłości, zemsty, bólu i rzewnej tęsknoty, niż owe trzynastozłogowe, tak długo w tragediach klasycznych panujące wszechwładnie na scenie teatru narodowego.

We trzy lata po ogłoszeniu drukiem wyjątków z *Matki rodu Dobratyńskich* w *Dzienniku Warszawskim*, krążyło jeszcze parę piosnek Starzyńskiego. Z pomiędzy tych jedna szczególnie się upowszechniła p. n. *Do zobaczyska*, z melodyą dziwnie rzewną. Dajemy tu z niej na zakończenie wyjątek.

Do zobaczyska, Bóg z wami!
Bóg i ze mną, przyjaciele!
Wspólne dotąd między nami
Były troski i wesele.
W odmiennie każde szlaki
Dziś wyroku wola ciska:
Scieżki różne, cel jednaki,
Więc bracia, do zobaczyska!

Przetłumaczył jeszcze z Müllnera mały dramat *Der 29 Februar*, ale z tój pracy nie udzielił nawet wyjątków do druku; pozostała w rękopiśmie.

W roku 1836 nadesłaną poprzednio przez Starzyńskiego krotoczwilę oryginalną p. n. *Bankocelle przecięte, czyli aktorowie na prowincyi*, przedstawiono na scenie warszawskiej. Autor sam był obecny na próbach i uradował się dobrem przyjęciem tój fraszki literackiej, w której kilka wrotek z dawnych pieśni powtórzył.

Kilkadziesiąt przedstawień w *teatrze Rozmaitości* dowodzi, jak się podobała ówczesnej publiczności.

Od tój pory nie mamy wiści ani o pracach tego pisarza, ani o jego życiu. Przypomniał nam tę szlachetną postać Franciszek Kowalski w swoim pamiętniku; zebraliśmy więc kilka szczegółów, aby uczcić wspomnieniem poetę, którego pieśni budziły zawsze piękne i obywatelskie uczucia. K. Wł. W.

Od jednego ze światłych starozakonných tutejszych otrzymaliśmy następującą odezwę.

Szanowny panie redaktorze.

Z prawdziwą pociechą przeczytałem w *Tygodniku Ilustrowanym* Nr. 118 ustęp dotyczący się pisma literacko-naukowego, w języku hebrajskim u nas ukazać się mającego. Ta troskliwość by kierunek Żydów(*)

(***) Wyjątki z obu dramatów mieszczą się w tomie VII i VIII *Dziennika Warszawskiego* z r. 1827.

(*) Musimy tu zrobić uwagę, że starozakonni nasi powinni dążyć do tego, aby nie stanowić narodu w narodzie, a tэм samém nie nazywać się *Żydami* lub *Israelitami* (od narodo-

tutejszo-krajowych nie został zwichnięty, ta niespokojność ażeby nie zostawali w odosobnieniu im samym i krajowi tyle szkodliwém, nie jestże najlepszym dowodem braterskiej ku nam przychylności, dowodem wymowniejszym od szumnych oświadczeń?

Przychylność ta właśnie ośmiela mnie do odezwania się pod tym względem, i pozwalam sobie wynurzyć przekonanie, że obawa szanownej redakcyi *Tygodnika Ilustrowanego*, co do wzmiankowanego pisma hebrajskiego, nie jest uzasadnioną, i wypływać mogła tylko z nieznajomości stanu większej części Żydów naszego kraju. Nie mam tu na myśli tych współwyznawców moich, którzy dostatecznie usposobieni w mowie krajowej lub innych językach europejskich, z dzieł w tych językach pisanych nauki i umiejętności czerpać są w stanie; chcę tu mówić o tych, którzy w życiu swoim żadnego innego języka piśmiennego, prócz hebrajskiego się nie uczyli, a których umysł i pojęcia jednak, skutkiem śmiałej że tak powiem gimnastyki talmudycznej, do wysokiego doszły rozwinięcia. Do tój części ludności należą u nas, z niewielu wyjątkami: rabini, duchowni wszelkiego rodzaju i wszyscy prawie rabinicznie ukształceni Żydzi, zwłaszcza po miastach i miasteczkach prowincjonalnych.

Jakimże sposobem wyzwolić ludzi tych z ciasnego kółka, w którym zamknęło ich wychowanie wyłącznie talmudyczne? Jakiz jest sposób, pytam, pokazania im że i za obrębem talmudu są nauki godne tak pilnych studyów, jakie oni na ten jeden łożą przedmiot, w mniemaniu że cokolwiek nim nie jest, blabém jest i poziomém? A trzeba wiedzieć że to właśnie ci o których mowa, dla wielkiej swęj nauki religijnej, najwięcej mają wpływu na massę, największém ich cięższą się zaufaniem. Doświadczenie uczy, że wszędzie gdzie ta klasa przyszła do przekonania o wysokiej wartości nauki w ogóle, tam kształcenie się mass ludności izraelskiej szybkim postępuje krokiem. Nie pierwszy to Mendelssohn i szkoła jego wzięli się do opracowania wszelkich nauk i wiadomości w popularnym stylu hebrajskim; już o sześć wieków przed niemi uczeni izraelscy w Hiszpanii tego samego użyli środka, dla rychlejszego przeszczepienia oświaty z Arabii na oczyszczoną glebę. Dopiero kiedy język hebrajski dopełnił tego celu swojego, ustąpił krajowemu, pozostając prawie jedynie w użyciu synagogalném. Sam Mendelssohn zawdzięcza naukę swoję Izraelicie polskiemu, rabi Izraelowi Zamość, który w połowie zeszłego stulecia pierwszy w Berlinie wydał kilka prac hebrajskich traktujących o fizyce, astronomii i innych umiejętnościach.

Moglibyśmy tu naliczyć niemało takich współwyznawców, którzy powziawszy z książki hebrajskiej początki jakiejbądź nauki świecką zwanęj, poznali zbawienne cele wiedzy w ogóle i z gorliwością rzucili się do nauki języka krajowego i innych żyjących, dla dalszego kształcenia się tak niezbędnych. Jeżeli mimo to nie wszyscy wyszli nauczonych, jeżeli nie wielu z nich było w stanie gruntownie posiadać te języki, około których pracować w dojrzałym już wieku poczęli; to tyle przynajmniej każdy z tych usiłowań odniósł korzyści, że jak na dłoni dostrzegł opaczność we własnym wychowaniu kierunku i wszystkich sił dokładał, by dzieci swoje od podobnego losu uchronić i innych odwieść od takiego wychowania.

Za przykład niechaj tu posłuży sam p. Słonimski. Urodzony w małej mieścinie na Litwie, zagłębiony w subtelnościach talmudu, nie miał nawet nigdy sposobności widzenia książki nie hebrajskim pisanęj językiem. Raz przypadkiem jakoś wpadła mu do ręki algebra hebrajska, którą przeczytawszy, młodzieniec przejrzał od razu. Od tego czasu pragnienie wiedzy nie dawało mu już spokoju w rodzinnym zakątku, póki nie udał się w świat dla ugaszenia go. Ze p. Słonimski w ciągu uczonego swego zawodu, już od lat przeszło trzydziestu, ciągle się stara za pomocą hebrajskiego języka szerzyć oświatę pomiędzy swemi współwyznawcami, zbyteczném jest powiedzieć; pomimo to jednak dzieci swoje posyła do szkół publicznych w naszym mieście, a te dzieci jednego z najznakomitszych hebraistów, już nie innym jak polskim mówią językiem.

Nie mam potrzeby, sądzę, więcej rozwodzić się nad użytecznością opracowywania nauki i umiejętności popularnie w języku hebrajskim, póki massa talmudystów naszego kraju, oczyszczonego nie pozna języka. Do owęj chwili podobna praca jest zasługą i koniecznością,

tylko starozakonnemi albo *mozaitami* (od religii). (Przyp. red.)

ścią. Pozostaje mi dodać jeszcze kilka słów, aby odeprzeć wzmiankę o nieufności jaką wywoływałyby mógł Tygodnik w języku hebrajskim wychodzić mający. Przedewszystkiem samo życie p. Słonimskiego znaczne i zasłużone, zabrania podejrzewać czystość zamiarów i poczciwość dążności jego. Ale gdyby nawet redaktorem owego pisma miał być kto inny, mniej znany i mniejszej używający wziętości, to i wtedy jeszcze sama czytająca je publiczność nieprawy jego zachęcenia potępiłaby w zarodzie, bo publiczność ta wielce dbała jest o dobro ogółu. Ona nie wahałaby się potępić pisma w innym duchu odzywającego się, piętnując redaktora onego potępieniem i wzgardą...

Bezstronność każe mi się spodziewać, że pan tym słowom pomieszczenia w Tygodniku swoim odmówić nie raczysz. Audiatur et altera pars!

Przyjm pan zapewnienie i t. d.

M. C.

RUCH LITERACKI W GALICYI.

Z początkiem roku godzi się obliczyć z siłami umysłowymi, jakie rozwija każda prowincja odrębnie, przyczyniając się do ruchu wspólnego na całej duchowo nierozdzielnej ziemi. Obliczenie to wypadnie z korzyścią dla kraju. Cyfry statystyczne przemawiają za postępem, lubo niezawsze ramy statystyczne mogą być linią odcinającą rozległość polotu ducha, odmierzającą wzrost lub upadek siły umysłowej narodu.

Były czasy, a czasy to niedawne, bo zasięgają ich pamięcią starsi literaci, w których na ludność kilkumilionową, wystarczało kilka książek bezbarwnych, ukazujących się z pod prass krajowych. Gdyby nie zagranica, dostarczająca pokarmu duchowego, spaliłyśmy po dziś dzień snem błogosławionych. Czterdzieści, trzydzieści lat temu, wychodziło w Galicyi całej rocznie po dziesięć do dwudziestu książek, między którymi przeważały elementarze, kantyczki i wyśmienici kucharze. W Poznańskim, w epoce najwyższego obudzenia się życia literackiego, nielepiej się działo. W on czas, kiedy na raz ośm czasopism znamionowało silniejszy ruch niż w innych prowincjach, literatura książkowa spała jak dawniej. W znamiennym a prawie nieznanym, przynajmniej nie ocenionym dotąd dziele *Platera: Statystyka wielk. księz. pozn.* (Lipsk 1846), mamy spisane wszystkie dzieła wyszłe w w. ks. poznańskim, wraz z czasopismami od r. 1837 do 1843. Wyszło ich 109 przez te lat siedm, to jest: w r. 1837 wydano 3, w r. 1838 wyszło 11, w r. 1839 drukowano 10, w r. 1840 wytłoczono 3, w r. 1841 odbito 8, w r. 1842 ujrzało świat 38, w r. 1843 ukazało się 36 książek. W przecięciu więc wychodziło rocznie z drukarni całego księstwa poznańskiego po 15 książek.

Był to ruch jeszcze jaki taki, bo w Galicyi i Krakowie działo się gorzej jeszcze.

Dzisiaj zmieniły się czasy, rośnie liczba czytelników, rośnie też liczba piszących. Bibliografia Brokhauza, acz niezupełna, zebrała za ten rok i za część r. 1860 do dziewięciuset polskich dzieł. Józefa Ranka: *Oesterreichischer Katalog*, wykazuje iż wyszło w r. 1860 w Austrii 300 czeskich, 130 polskich, a 24 rutenickich dzieł. Spis ten nie jest zupełnie dokładny, bo na Galicyę przypada przeszło półtoraście książek. Tyleż, a może i więcej, wyszło w r. 1861; zatem przez jeden rok dostarcza Galicyę więcej książek, niż ich dostarczały niedawnymi czasy Poznańskie przez lat siedm. Wartość ich nie jest poślednią; dość przypomnieć sobie obfite wydawnictwo *Biblioteki polskiej* pod firmą Turrowskiego, dość przytoczyć dziejopisarskie prace Helcla, Szajnochy, Szmitta i Szujskiego, belletrystyczne utwory Kaczkowskiego, Zachariasiewicza, Dzierzkowskiego, Łozińskiego i Romanowskiego, prace poetyczne Siemieńskiego, Romanowskiego, Pola, pamiętniki Józ. Paszkowskiego, Gąsianowskiego, dzieła ścisłej umiętności Żebrawskiego, Czerwiakowskiego, Kremera, Steczkowskiego, Dietla, Łepkowskiego, Mecherzyńskiego i wielu innych, a możemy powiedzieć że rok 1861 nie zszedł beczynnym, i prowincja nie stała na uboczu w obec rozwijającego się życia umysłowego.

Byłoby może lepiej, gdyby wyższe warstwy społeczeństwa naszego brały udział w tym ruchu, gdyby chciały się uczyć, myśleć i pisać po polsku, gdybyśmy obok zbieraczy bibliotek, mieli chętnych wydawców. Ufnosć w przyszłości, że kiedyś i tam zabłyśnie poznanie obowiązku, a jałowa niwa, uprawiana su-

mienną pracą, wyda ziarno pożyteczne, w miejsce wydawanych dotąd dżokejów i beczynnych oratorów.

Może to i lepiej, że piśmiennictwo tutejsze nie ma punktu oparcia w tak zwanych mecenasach; bo uczy się stapać o własnej sile, sadowi się na stanowisku niezawisłym i nie zapleniło się panegiryzmem a czolobitnością.

Dobre dzieło, bywa zawsze dobrze przyjętym. Czy prenumeratą, czy nie, rozchodzi się, od razu rozkupowane. Szajnocha, Szujski, Zachariasiewicz i inni, nie mogą pożalić się na brak uznania pod tym względem. Szajnocha wydał ostatni tom *Jadwigi i Jagielły*, wydał i dalszy tom *Szkiców historycznych*; obadwa dzieła oceniono śpiesznym rozkupem.

Szujski wydaje czterotomową historją polską. Wszedł już tom pierwszy w dwóch poszytach, obejmujący epokę piastowską. Nakładca Karol Wild, nie będzie się uskarżał na brak prenumerat, bo napływają oni licznie. Dzieło godne rozkupu, ale też i rozkupowane od razu.

Zachariasiewicz Jan, ogłaszając w r. 1860 powieść *Na kresach*, malującą zapasy germanizmu na krańcach słowiańszczyzny, sprzedał od razu, bez oddawania dzieła księgarzom, egzemplarzy 1300. Reszta, około 200 egzemplarzy, ukazała się w obiegu księgarskim tylko w Warszawie, na składzie u Celsa Lewickiego. Od stycznia 1862 r. drukuje powieść w 3 tomach p. t. *Święty Jur*, w której kreśli różnicę między prawdziwymi Rusinami, a rutenizmem, i odsłania pobudki działalności frakcyi silnej, reprezentującej naród fikcyjny, o którym lud rusiński nie wiezieć nie chce. Zachariasiewicz może liczyć na półtora tysiąca prenumerat, i niewątpliwie dzieło jego nie ukaze się na półkach księgarskich.

Do ważniejszych publikacji na r. 1862, policzyć trzeba wskrzeszenie zeszytowego pisma *Biblioteki Ossolińskich*, które ma wychodzić od marca czy kwietnia, pod redakcją Augusta Bielowskiego. Nazwisko redaktora jest już rękojmią wartości czasopisma. Głównie ma drukować studia i rękopiśmienne materyały historyczne. Pismo podtrzymywane przez wielu literatów, może niemałe oddać usługi naukowoci polskiej. Aleksander hr. Stadnicki, ukończywszy dyktować rozprawę przeznaczoną do tego czasopisma, padł rażony nagłą śmiercią.

Zasługi Aleksandra Stadnickiego na polu dziejopisarskim i prawoznawstwa są znane. W roku 1848 wydał w *Czasop. Bibl. Ossoliń.* rozprawę niemałej pracowitości: *O wsiach tak zwanych wołoskich, na północnym stoku Karpat*. W r. 1855 ogłosił w *Bibliotece Warszawskiej Rys historyczny miasta Grzybowa i starostwa grzybowskiego*. Tamże w r. 1854 ogłosił przegląd dokumentów w dodatkach do *Gaz. Lwow.* z 1854 r., pierwszy zwróciwszy uwagę na ważność dyplomatów ogłaszanych przez Wolańskiego Franciszka, za staraniem i myślą M. Sartyniego, redaktora *Gaz. Lwow.* W tymże *Dodatku* zamieścił bardzo ważne rozprawy: *O kniaźwach we wsiach wołoskich* (osobne odbicie w 4ce str. 37). *Postanowienie pewnego minimum dla posiadłości włościańskich w Galicyi*. *O byłych wybrannictwach*. *O spadkach włościańskich w Galicyi*. *Materyały do historii miast galicyjskich*. *Prawo przeciw lichwie, w historycznym wywodzie*. *Wykład popularny statutów wiślickich*.

Kiedy Helcel wydał statut wiślicki, ogłosił Stadnicki w *Bibl. Warsz.* 1860 *Przegląd krytyczny rozporządzeń tego statutu*, z czego obszerne utworzyło się dzieło.

W *Przeglądzie Powszechnym* drukował rzecz *Reorganizacji gminnej w Galicyi* (1859), w *Kółku Rodzinnym* r. 1860 szkic historyczny *Z dawnych dziejów miasta Lwowa*.

Prac literackich hr. Aleksandra, nie należy mieszać z pracami brata jego Kaźmirza, jak to uczynił *Dziennik Polski*, a za nim powtórzyły inne pisma polskie. Kaźmirz hr. Stadnicki jest autorem chwalonego dzieła historycznego: *Piasty* (Paryż 1842, str. 224), *Genealogia Stadnickich, Komentarza do rodowodu Stadnickich* (Lwów 1861 folio), *Projekt do prawa wyborowego*, znakomitego dzieła: *Synowie Gedymina* (tomów dwa, 1849 i 1853) i drobniejszych prac, jak: *Odpowiedz Aleksandrowi Batowskiemu, O wydaniach kazań Fab. Birkowskiego* (Dod. tygodn. 1853), *O zaborach Wariagów* (*Bibl. Ossoliń.* 1843) i t. p. Jest jeszcze trzeci hr. Stadnicki Antoni, który wydał dzieło o *Włoszech* (1837) i *Rys hist. ludu żydowskiego* (1834).

Nowością na polu literackim jest dzieło Józefa Supińskiego p. t. *Szkola polska gospodarstwa spoteczne-go* (nakł. Jabłońskiego, w 8ce, str. 455), będące częścią pierwszą rozleglejszego dzieła ekonomicznego. Za-

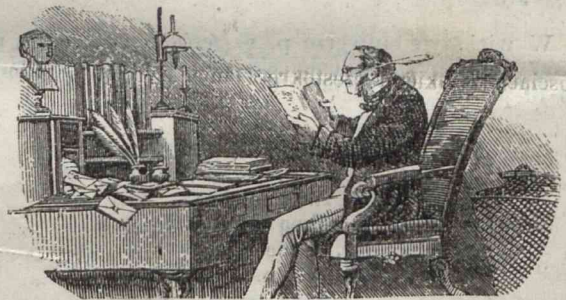
pewne będzie miało praktyczniejsze zastosowanie, niż tegoż teoretyczne marzenia: *Myśl ogólna filozofii powszechnej* (w 8ce, str. 360), wydane r. 1860. Supiński jest autorem kilku drobnych pism, jak: *Głos wołoskiego na puszczy*, 1848. Dwa wiersze czytane r. 1838 i 1839, oraz dwie tragedye: *Tatary* i *Arces*, Lwów 1861 (str. 161), pisane wierszem. Jako prozaik, odznacza się stylem jasnym, częstokroć powabnym; jako wierszopis, a mianowicie tragic, nie zwrócił na siebie uwagi.

Jest na ukończeniu druk dziełka prof. Jozafata Zielonackiego: *O posiadaniu i zasiedzeniu, według prawa rzymskiego*. Pr. Zielonacki pisywał dotąd najwięcej po niemiecku, nie było więc pożytku dla nas z jego prac. Nawrócenie się to na właściwą drogę, przyjęte zapewne będzie dobrze, zwłaszcza że profesor wypracowuje obecnie wykład *pandektów*. W żadnej gałęzi literatury nie jesteśmy tak ubodzy, jak w prawie rzymskim. Oprócz drobnych rozpraw Czackiego i Moniuszki, oprócz przekładu Cukrowicza i wykładu Fr. Maciejowskiego, nie mamy studyów nad niem pisanych po polsku. O pandektach nie pomyślano dotąd, dlatego dzieło prof. Zielonackiego może być niepospolitym nabytkiem, bo będzie pierwszą tego rodzaju pracą.

W Wiedniu wydał skrzypek Biernacki pierwszą seryą pieśni ruskich. Ma on ich zbiór niemały. Jednocześnie, uwijając się po Rusi halickiej, Oskar Kolberg zgromadził znaczny zasób pieśni ruskich, mianowicie zebrał całe ruskie wesele, które zapewne ukaze się w drugim tomie pieśni ludowych.

We Lwowie wydała panna Paulina Mikułowska: *Kalendarzyk wspomnień historycznych* na rok 1862, całkiem nowego rodzaju, na wzór niemieckich ścienych kalendarzy, złożony z 365 pojedynczych kartek zalepionych. Codzienną oderwaną kartką, wskazuje dzień i odpowiednią datę historyczną. Autorka bawi we Lwowie, wraz ze znaną literatką p. Lucyą Rautenstrauchową. Bawi też z niemi książką Giedroic, obdarzony talentem poetycznym, po którym literatura nasza niejednej pracy spodziewać się może.

(Dokończenie nastąpi).



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materyału do kroniki tygodniowej. Materyałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarogodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

Pani L. T. Fantazyje w rodzaju przesłanych nam „Cierni“, nie zgadzają się z założeniem naszego pisma. Rękopis zachowujemy do dyspozycyi.

Panu A. M. w Mytniku. Próbkę pańskie poetyckie odebraliśmy, ale zrobić z nich użytku nie możemy. Czasy „jęków“ i narzekań bajronowskich dawno już minęły i oby nigdy nie wróciły! — Żądasz pan rady zycielwój: — chętniebyśmy jej udzielił, ale pisywać osobno do każdego z autorów zbyt licznie obdarzając, ch nas swemi pracami rymowanemi — niepodobna; w drukowanej zaś korespondencyi Tygodnika na kilku zwykłych słowach ograniczyć się musimy. Otóż jedyną radą jaką dać panu w tej chwili możemy, jest: abyś nie uważał na sądy przychylnie krewnych i znajomych, niezawsze może światłe i bezstronne. Kształceniem się i pracą surową dojrzewa myśl młodzieńcza; pracuj więc, i nie rzucając pióra, jeśli pisanie sprawia ci przyjemność, składaj jednakże terażniejsze swe elukubracje do teki, a gdy po kilku latach przypadkiem do nich zajrzysz, nie będziesz już potrzebował zasięgać niczyjgo zdania, bo sam je uznasz za to czem są rzeczywiście, za *uśłowianą przedwczesną*.

Pann J. N. Otrzymały wiersz p. n. „Parga“ w późniejszym może czasie wydrukujemy.

Panu X. nad Nerem. Zdaniu rodziny i znajomych pańskich niepodobna tym razem odmówić słuszności.

Panu P. w Stupcy oświadczamy, że kwadrat jego, zamiast być co do powierzchni równym kołu, jest większy od szesnastokąta foremnego na témże kole opisanego. Zdanie to opiera się na piśmiennym opinii znakomitego matematyka warszawskiego, którą, na żądanie, przesyłać panu możemy, żałując tylko że nie jest zbyt korzystną.